ARLEKIN W TEHERANIE

WRZEŚNIOWA BALLADA

WACEK – ŁAP RAKIETĘ...!

ODGŁOSY

ROK XIX, NR 36 (978) 2 WRZEŚNIA 1976 r. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

EMANCYPACJA

JAN BĄBIŃSKI

EWY W NATARCIU

Gwałtu, co się dzieje? Zewsząd nadchodzą wieści, które niejednego mężczyznę wprowadzają w stan bliski osłupienia. Więc to tak? Kobiety nawet w sporcie depczą już mężczyznom po piętach? Na to wychodzi. Fakty są przecież nieubłagane. Mierzone chronometrem i centymetrem mają swoją wymowę. Mają też swój ciężar, który niejednego mężczyznę wprost przytłacza. Więc ja dziś o sporcie. Trochę na zasadzie wolnego strzelca, gdyż jest to teren zastrzeżony niejako dla wąskiego grona sportowych wyjadaczy. Więc ja o sporcie na zasadzie mąciciela spokoju.

Wieści jakie nadeszły z olimpijskiej areny są pod każdym względem zdumiewające. Różnice w rezultatach osiąganych przez mężczyzn i kobiety w sporcie wyczynowym ciągle się zmniejszają. Na korzyść kobiet. Białogłowy są w ataku. Szturmują pozycje do niedawna zarezerwowane dla mężczyzn wyłącznie. Zdobyły boiska piłki nożnej, są mistrzyniami judo, żeglują samotnie po oceanach, pokonują w lekkiej atletyce maratońskie już odległości. W ogóle na każdym kroku usiłują udowodnić, że w niczym nie są gorsze od „panów wszelkiego stworzenia".

Jeszcze ten i ów doktor medycyny podnosi ostrzegawczo palec do góry — ależ panienki, piłka nożna nie dla was, za słabe macie mięśnie, za wiotkie jesteście w krzyżu i skórka za aksamitna, szkoda by was było... Dużo to jednak pomaga. Wszędzie powstają kobiece drużyny piłkarskie. Kiedyś oglądałem żeński mecz futbolowy w Londynie i stwierdzić muszę stanowczo, że takiej jedenastki, jaką wpakowała blond-Ewa tej drugiej Ewie w bramce, dawnom nie widział. Strzał był jak z armaty. Tuż pod spojeniami w górnym lewym rogu. Nawet Jan Tomaszewski nie miałby żadnych szans.

Dalszy ciąg na str. 6

ŻYCIE RODZINNE?

JACEK INDELAK

TESTAMENT JÓZEFA KOSIORKA

Kiedy Józef Kosiorek w grudniową niedzielę pięćdziesiątego szóstego roku dyktował na łożu śmierci swoją ostatnią wolę, przez myśl mu nawet nie przeszło, że ojcowizna, jaką całe swoje życie uprawiał, mogłaby pójść nie w te ręce, które sam umierając wyznaczył.

Zebrali się wszyscy tej niedzieli, żona, sześć córek, grono krewnych, sołtys, świadkowie, aby swoją obecnością i swoimi podpisami nadać testamentowi należną mu rangę. Legaty, jakie poczynił umierający, nie budziły zresztą niczyich wątpliwości. Od dawna było wiadomo, że gospodarstwo przypadnie jednej z młodszych sióstr — **Stefanii Siewierskiej.**

DZIELIĆ NIE TRZEBA...

Siostry powychodziły za mąż, dwie poszły na mężowe gospodarstwa, trzy zamieszkały w Zgierzu. Tylko Stefania została na ojcowym, nawet po ożenku. Mąż nie palił się do roboty w polu. Ciągnęło go do miasta. Znalazł robotę na kolei. Znalazł też w Łodzi — inną. W czterdziestym ósmym urodziła się Siewierskim córka — Wiesława, w pięćdziesiątym pierwszym syn — Marian. Potem Siewierski — ani się Stefania obejrzała — zajął się poważnie tą drugą, z Łodzi, i już go nie było. Została więc Stefania sama w pięćdziesiątym szóstym z dwójką dzieci, z trzecim — w drodze.

— Każdemu zapisuję ziemię, żeby było wiadomo ile Stefka ma wam spłacać. Ziemi tej nie weźmiecie, bo niepotrzebna wam ona, a i ojcowizny nie trzeba dzielić. Niech wszystko Stefce i jej dzieciom zostanie. Byle was spłaciła — wyjaśnił wszystkim stary Kosiorek.

Nie zapomniał też o żonie, Katarzynie, z którą czterdzieści pięć lat w jednym stadle przeżył. Zapisał jej morgę ziemi i pół domu w dożywocie. Po jej śmierci dziedziczyć miała, rzecz jasna, Stefania.

Złożyli wszyscy — z sołtysem na czele — podpisy na ostatniej woli ojcowej, **a w trzy dni później Józef Kosiorek zmarł,** zostawiając na gospodarce 33-letnią Stefanię i 65-letnią Katarzynę...

W dwadzieścia lat później stoimy ze Stefanią Siewierską u progu jej domu. Domu **we wsi Popów** — dwa kilometry od Łowicza. Nie wyróżnia się niczym szczególnym spośród dziesiątków zabudowań, ciągnących się gęsto obok siebie przez całą wieś. Może tylko biedniejszy, może mniejszy, niż wiele innych. Poczerniałe drewno wygląda jednak jeszcze solidnie: znać na nim rękę dobrego gospodarza.

— Powiedział, że dom rozbierze, bo połowa mu się należy. I jak mu w tym przeszkodzić? Przecie nikt bijać się z nim nie będzie...

Wychodzimy na małe podwórze. Kwadrat o dziesięciometrowym boku zamknięty z czterech stron. Z jednej — ścianą domu, z drugiej — zabudowaniami gospodarczymi z obórką, w której trzy krowiny leżą prawie jedna na drugiej; z trzeciej — ceglanym murem oddzielającym sąsiednie podwórko, z czwartej wreszcie — pryzmą porządnie poukładanych cegieł.

— Połowa tego podwyrka — mówi Stefania Siewierska — **też jest podobnież jeich. Mieli my stawiać oborę, co się zawaliła, ale gdzie tu stawiać? Połową podwyrka wóz z sianem nawet nie przejdzie. A kto wie, która połowa nasza?**

Przed domem i za domem ciągną się pola. Ciągną się — jak w całym Popowie — wąziutką i długaśną kiszką. Trudno jest uprawiać taką wstążkę ziemi, gdzie ze środka nie kamieniem rzucić, jeno splunąć starczy, żeby trafić — po lewej i prawej —

Dalszy ciąg na str. 5

GOSPODARKA

EUGENIUSZ IWANICKI

DLACZEGO BUDUJĄ TAK BRZYDKO?

Budownictwo wiejskie przeżywa jakościowy regres. W kraju, w którym wznosi się funkcjonalne i nowoczesne budowle, w którym powstają nowoczesne miasta i zakłady, w kraju wyprzedzającym epokę śmiałymi planami urbanistycznymi — wieś tkwi nadal we wzorach prymitywnego, przestarzałego budownictwa. Poprzez zasłony wiekowych wiązów i topoli, poprzez gęste, zmierzwione kępy jaśminów przezierają niskie, nieestetyczne, byle jak postawione domy, niefunkcjonalne budynki gospodarcze: jakieś szopy, drewutnie, potężne stodoły, odstraszające obory i chlewnie. A wszystko to zazwyczaj murowane, wybudowane już po wojnie, w Polsce Ludowej, pod okiem urzędów zajmujących się sprawami architektury, wydających zezwolenia na wznoszenie budowli na gruntach chłopskich.

Więc jak to właściwie jest z tym budownictwem na wsi? Czyżby biura projektowe i architekci opracowywali plany, kreślili piękne, funkcjonalne budynki, a chłop i tak budował po swojemu? Gdzie leży przyczyna, że wieś polska jest taka brzydka, że w trzydzieści lat po wojnie buduje się tak jak za najgorszych czasów?

Czy coś zaczyna się zmieniać, czy po niedawnym podziale administracyjnym kraju, urzędy powołane do rozbudowy i zabudowy wsi zaczną śmielej i konsekwentniej wkraczać z typowymi, nowoczesnymi projektami przestrzennego zagospodarowania wsi?

Odpowiedzi szukałem w województwie sieradzkim, województwie typowo rolniczym, gdzie te sprawy z konieczności muszą znaleźć się na porządku dziennym działania nowych władz.

Oto co na ten temat powiedział Główny Architekt Wojewódzki mgr inż. arch. **Jan Michalewicz:**

— Od ubiegłego roku nastąpiło rozdwojenie działalności dotyczącej budownictwa, polegające na tym, że Głównemu Architektowi Województwa podlega działalność inwestycyjna instytucji uspołecznionych, natomiast budownictwo jednorodzinne na obszarze wsi jest w gestii naczelników gmin w pierwszej instancji oraz wojewodów w drugiej instancji. Tak więc podstawowe działanie i sterowanie tym budownictwem znajduje się w

Dalszy ciąg na str. 3

PLASTYKA

SZTUKA RODZI SZTUKĘ

Rewolucja artystyczna, która dokonała się w siódmym dziesiątku ubiegłego wieku za sprawą grupy malarzy, nazwanych od tytułu recenzji Louisa Leroy'a **impresjonistami,** okazuje się być najżywszym i ciągle, mimo upływu stu lat, wciąż owocującym przewrotem w dziejach sztuki. Gest uczyniony przez francuskich malarzy wiek temu zachował po dziś dzień wszelkie znamiona świeżości i autentyzmu. Magiczny gest kładący groble między dwa modele sztuki, między model „stylowy", dawny i nowoczesny, „bezstylowy", pragnący „demonstrować jedynie kreacyjne potencje człowieka i ujawniać autentyczność odruchów mechanizmu twórczego i moc nieprzepartą jego dynamizmu", stał się zalążkiem wszystkich eksplozji artystycznych, których widownią jest wiek XX. To nieprawdopodobne wyrwanie się z zaklętego kręgu dawnych koncepcji, skupiających wysiłek nad stylem obrazowania, w kierunku samej procedury malarskiej, fascynuje nas i zaciekawia notorycznie, a także ujawnia liczne problemy i stawia liczne znaki zapytania, których rozwiązań i odpowiedzi szukać trzeba zarówno w dorobku artystycznym minionych wieków i najróżniejszych odległych i egzotycznych kultur jak i w XIX-wiecznej rewolucji technicznej, wprowadzającej istotny i zasadniczy przewrót w dziedzinie środków masowego przekazu i informacji wizualnej.

Tymi właśnie różnorodnymi źródłami inspirującymi dokonania impresjonistów zajmuje się nowa książka Zdzisława Kępińskiego. Analizując wpływy fotografii oraz przemysłu poligraficznego, a zatem związanych z nimi wielości bodźców obrazowych, którym poddani byli francuscy impresjoniści, autor broni tezy, że sztukę rodzi przede wszystkim sztuka. „Wbrew wszelkim teoriom, sygnowanym nazwiskami najwybitniejszych choćby autorytetów, każde konkretne dzieło sztuki rodzi się z innego dzieła czy innych dzieł, zawierających rozpoznane w nim pokrewne tendencje generalne lub choćby czastkowe" — pisze Kępiński, wychodząc z założenia, że droga ewolucji obrazowej w sztuce „przebiega nie na liniach powiązań między okiem i wyobraźnią artysty a światem, który go otacza, lecz na szlakach wiodących od jednego dzieła sztuki do następnego". Owo „przechodzenie od obrazu do obrazu" jest doskonale znanym z historii sztuki systemem zależności. Jednakże potwierdzenie tego systemu w wypadku impresjonistów, którzy przecież stanowili w swoim czasie awangardę, reprezentowali ruch artystyczny najbardziej nowatorski, nabiera szczególnej wymowy. W tej sytuacji zyskujemy impuls „do szukania jakiejś nowej psychologii twórczości, a może i czegoś więcej niż tylko psychologii. Kto wie, czy z biegiem czasu, analizując owe fenomeny głębiej niż to dziś zrobić możemy nie uchwycimy pewnych reguł gry wyobraźni ludzkiej, operującej w polu zorganizowanym tak, że przy pewnej pozycji i pewnym określonym zadaniu taktycznym cały schemat posunięć staje się a priori przesadzony i określony rodzajem jakiegoś modelu, należącego do struktury pola" — domniemywa Kępiński.

Na razie jednak autor zajmuje się genezą dzieł impresjonistów, plasując się w długim szeregu badaczy tego problemu. A problem jest równie stary jak dzieje samego impresjonizmu. Datuje się bowiem od pierwszego publicznego pokazania obrazu Maneta „Śniadanie na trawie", który okazał się być ściśle oparty na fragmencie projektu Rafaela na gobelin do komnat papieskich. Poszukując źródeł inspiracji, Kępiński zestawia blisko dwieście pozycji ze sztuki dawnej i sztuki innych kultur z dziełami impresjonistów starając się prześledzić zależności i wpływy. Podsumowując zaś swoje wnioski stwierdza, że „jedną z podstawowych nowości i rewelacji na planie stosunku artysty współczesnego do całości dorobku kultury stało się wprowadzenie czynnika analitycznego w miejsce stosowanego dawniej apologetycznego lub polemicznego".

Ostateczna zaś konkluzja książki Zdzisława Kępińskiego zamyka się w słowach: „Sztuka to nie seria wybuchów. To nieprzerwany pas transmisyjny ewolucji gatunku ludzkiego. To koło zębate historii, zdolne tylko wtedy pracować, kiedy zazębia się o inne tryby tego samego, „swojego" mechnizmu".

ANDRZEJ GRUN

Zdzisław Kępiński — „Impresjoniści u źródeł swych obrazów" — Ossolineum — 1976 cena 130 zł.

LISTY

MECHANIZMY

Przyjechałam do Łodzi na reportaż o ludziach. Przyjechałam tu z myślą o rodzinie włókienniczej z dziada pradziada, od kiedyś do dziś. A wysłało mnie pismo jedno z najpoważniejszych w kraju. Roboty tu na kolanie wykonać się nie da. Trzeba z rozmówcami spędzić niejedną godzinę, zaprzyjaźnić się z nimi, zobaczyć ich w różnych sytuacjach.

Łódź, środa, wczesne popołudnie. Wykręcam numer znajomego redaktora. Przypominam się proszę o pomoc: o wskazanie mi rodziny, o zapowiedzenie mojej wizyty, o wprowadzenie ludzi w temat. Umawiam się na kontakt w czwartek koło południa. Planuję odwiedzić moją rodzinę najpierw w domu. Nie w zakładzie pracy, podczas odpracowywania dniówki, w atmosferze napięcia, że robota czeka, skrępowania nieodłącznym w takich razach odczuciem, że udziela się „wywiadu dla prasy z ramienia".

Czwartek, południe. Jest redaktor, są wytypowani rozmówcy. Ktoś mnie z nimi skontaktuje. Umawiam się na godzinę 15.30. Ludzie będą już po pracy. Wszystko układa się pomyślnie. Ale po godzinie telefon od redaktora zapowiada komplikacje. Rodzina tego dnia wybywa z domu. Następny kontakt możliwy jest dopiero jutro rano. Grozi mi utrata następnego popołudnia i kolejnego przedpołudnia. A czas leci. Postanawiam więc poszukać szczęścia z inną rodziną, jest ich przecież, jak wiem, wiele. Ale redaktor ma obiekcje: ludzie w zakładzie są już nieosiągalni. A z odwiedzaniem ich w domu jest gorzej. Wprawdzie pracownicy wzajemnie znają się, ale składają sobie wizyty rzadko, więc nie będzie nikogo, kto odważy się podprowadzić mnie do cudzego domu bez zapowiedzi, że mam tam przyjść.

Jestem zgnębiona, ale nie rezygnuję. Proszę przynajmniej o wskazanie mi adresów ewentualnych rozmówców. Pojadę do nich sama. Zaryzykuję. Jeśli zaś nie, umówię się na potem z konkretnymi, znanymi mi już ludźmi. Będę miała przygotowany grunt do kontaktów osobistych. Redaktor acz niechętnie, obiecuje wystarać się o adresy. Po godzinie przekazuje mi jeden. Mówi też, że w tym samym bloku mieszka więcej włókniarskich rodzin, a zwłaszcza kierownik M., który ludzi zna, więc z pewnością poradzi mi, kogo warto odwiedzić.

Czwartek, godzina 14.00. Dzwonię do kierownika M., Jest, niestety, na zebraniu. Do pokoju już nie wróci. Zdobywam numer telefonu, pod którym jest aktualnie. Odbiera towarzysz sekretarz.

— Towarzyszko — mówi — przecież umówiliśmy wam tę sprawę na jutro. Dzisiaj nie macie co załatwiać, bo ludzie poszli do domu. Ze swojej strony nie mam obowiązku udzielać wam prywatnych adresów, do rozmów jest zakład pracy — poucza mnie zdziwiona, że sprawa reportażu o rodzinie zawędrowała na aż tak oficjalny szczebel fabryki. Towarzysz sekretarz nie przyjmuje do wiadomości moich tłumaczeń, że nie mam zamiaru przeprowadzać żadnych oficjalnych wywiadów z pracownikiem jego fabryki o produkcji. Że właśnie marzy mi się rozmowa z nim na łonie rodziny, przy żonie, dzieciach i innych domownikach. A do zakładu przyjdę dopiero na końcu. Adres, który podał mi redaktor okazuje się należeć do rodziny, która właśnie dziś wybywa z domu. Kółko się zamyka. Pozostaje mi jeszcze tylko pomoc kierownika M. Teraz do telefonu podejść on nie może, bo właśnie referuje, a zebranie kończy się około 15.00.

Czwartek, godzina 15.00. Kierownik M. jest podenerwowany. Odrywa się go od jego spraw. Z jakiej racji właśnie on ma ponosić odpowiedzialność za typowanie jakichś rodzin. Jest przecież tylko zwykłym kierownikiem i nie do niego należą takie decyzje. Skoro obiecał mi rozmówców redaktor, niech sam ich typuje. Kierownik M. nie zna żadnych nazwisk ani adresów. Mam przyjść jutro do zakładu i oficjalnie to sobie załatwić.

— Słuchajcie towarzyszko — strofuje mnie towarzysz sekretarz — nie zmuszajcie kierownika M. do decyzji, które do niego nie należą. Rejestrowałem waszą rozmowę z redaktorem i wiem, że nazwisko kierownika M. było wymienione luźno. A wy wymagacie od niego takich posunięć, jakby miał polecenie, by wam pomagać. Nie znam się wprawdzie na prasie, ale wiem, że wywiady z pracownikami zakładu pracy przeprowadza się nie na gruncie prywatnym. Jedyna droga, jaką powinniście pójść — kończy pouczanie — to nie czaić się gdzieś przy telefonie na drugim końcu miasta, lecz oficjalnie, tak jak należy, przyjść jutro do naszego zakładu, do dyrekcji. Nikt przecież nie odmawia wam pomocy.

Tą metodą tracę następne popołudnie, przedpołudnie, a chyba także w ogóle szansę zrobienia takiego reportażu, jakiego ode mnie oczekują. Minęły dwa dni, a ja jestem wciąż w punkcie zerowym. Pójdę jutro, oczywiście, do fabryki. Ale wiem, że nie „załapię" tam psychicznie wskazanych mi ludzi. Czy zresztą będą oni odpowiedni? Kiedy zdążę głębiej w nich wniknąć, by pojąć ich wierność zawodowi włókniarza? Na przeszkodzie stanął mi częsty, niestety, mechanizm rozumowania: dziennikarz przyjeżdża, by robić „wywiady dla prasy", za które ktoś musi być odpowiedzialny. Trzeba więc wystąpić przed nim oficjalnie, po linii, z uwypukleniem, uwzględnieniem hierarchii. Nie zaś tak na dziko. Bo to pachnie aferą.

KATARZYNA KOPIŃSKA

KONKURS NA NOWELĘ FILMOWĄ

Organizatorzy: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, Redakcja „Głosu Robotniczego" i Zespół Filmowy „Profil".

ZAŁOŻENIA IDEOWE KONKURSU:

Celem konkursu jest wyłonienie nowel filmowych, które dadzą szanse powstania wartościowych filmów o tematyce współczesnej w Łódzkim Zespole Filmowym „Profil". Organizatorzy oczekują, że nadesłane na konkurs utwory w artystycznej formie zobrazują dramatyzm procesu przemian społecznych, ich przeobrażeń w świadomości współczesnego Polaka, ukażą związek tej współczesności z tradycją narodu. Zależy nam, aby przedstawiona w noweli współczesność miała swoje korzenie w przeszłości, a jednocześnie byłaby otwarta wobec zjawisk dnia dzisiejszego i przyszłości. Mamy nadzieję, że w polu widzenia autorów znajdą się najistotniejsze zjawiska i problemy stanowiące sens i treść życia świadomego obywatela naszego kraju.

ZAŁOŻENIA ORGANIZACYJNE

Konkurs ma charakter otwarty, dostępny dla wszystkich.

Organizatorzy przewidują imienne zaproszenia do udziału w konkursie niektórych autorów, członków stowarzyszeń twórczych.

Prace nadsyłane na konkurs winny być oryginalne, nigdzie dotychczas nie publikowane w całości lub fragmentach.

Objętość tekstu noweli powinna w zasadzie zamknąć się w granicach 20—30 stron maszynopisu znormalizowanego (30 wierszy na stronie).

Termin składania prac upływa z dniem 31.I.1977 roku (przy pracach nadsyłanych decyduje data stempla pocztowego).

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w marcu 1977 r. Wyniki konkursu podane zostaną do publicznej wiadomości za pośrednictwem prasy, radia, telewizji.

Za udział w konkursie zaproszonym autorom zostanie wypłacone wadium w wys. 5.000 zł. Wadium podlega zwrotowi w wypadku wycofania się autora z konkursu, nienadesłania pracy w przewidzianym terminie lub nadesłania pracy niezgodnej z założeniami i regulaminem konkursu. Wadium zostanie wypłacone po pisemnym potwierdzeniu przyjęcia przez autora zaproszenia do konkursu.

Prace oceniane będą przez jury powołane spośród członków stowarzyszeń twórczych: filmowców, literatów, dziennikarzy oraz działaczy społecznych.

Zespół Filmowy „Profil" zastrzega prawo pierwszeństwa zakupu prac nagrodzonych i wyróżnionych.

Przewiduje się możliwość wydania najlepszych prac w formie książkowej. Prawo pierwszeństwa druku zastrzega Wydawnictwo Łódzkie.

Przewidywane są następujące nagrody: I — 30.000 zł, II — 20.000 zł, III — 15.000 zł oraz 5 wyróżnień po 10.000 zł.

Jury konkursu zastrzega prawo innego podziału nagród. Organizatorzy konkursu nie zwracają nadesłanych prac. Prace zaopatrzone godłem należy nadsyłać w 3 egzemplarzach na adres Sekretariatu Konkursu: Urząd Miasta Łodzi, Wydział Kultury i Sztuki, ul. Piotrkowska 104, 90-926 Łódź, z dopiskiem na kopercie: „Konkurs na nowelę filmową".

PROBLEMY

NIEPRZYSTOSOWANIE SPOŁECZNE

Kilka lat temu pisałam na łamach „Odgłosów" o problemie przestępczości nieletnich w kontekście badań przeprowadzonych przez łódzkiego psychiatrę — prof. Rydzyńskiego, który przy współpracy ówczesnego Sądu Wojewódzkiego dla Województwa Łódzkiego przebadał określoną grupę nieletnich przestępców, przebywających w zakładach poprawczych. Wyniki badań sprowadzały się — najogólniej rzecz biorąc — do stwierdzenia: co najmniej 70 procent badanych powinno przebywać na leczeniu, a nie w zakładach karnych. Należało ich leczyć, a nie karać, bowiem zbyt głębokie były wady ich rozwoju, by rygor zakładu poprawczego mógł dokonać pożądanych przeobrażeń. Nawet przeciwnie: mógł pogłębić upośledzenia.

Przestępczość nieletnich jest zjawiskiem ze wszech miar niepokojącym. Fakty stawania przed sądem wyższej instancji młodych chłopców, którzy ledwo ukończyli 17 lat, albo jeszcze nie, a popełnili przestępstwa kryminalnej natury — budzi nie tylko zdziwienie, lecz przede wszystkim przerażenie. Ostatni proces dziewięcioosobowej grupy młodocianych i nieletnich z Aleksandrowa, którzy dokonali szeregu rozbojów, dał pogląd na ogromny problem niedostosowania społecznego, zastanawiał stopniem okrucieństwa w faktach napaści (jedna z napadniętych osób doznała trwałego kalectwa) i wyrafinowaniem działania. Z analizy danych osobowych, z badań psychiatrycznych i psychologicznych, przeprowadzonych na zlecenie sądu, wyłonił się obraz chorych osobowości, wyrażający się w kilku wypadkach mniejszą wartościowością centralnego układu nerwowego.

W ogólnym obrazie skutków walki z przestępczością w ogóle, uznawanych ostrożnie za pozytywne — rozdział przestępczości nieletnich jest odrębnym zagadnieniem, a jego waga nabiera, niestety, większego ciężaru — ilościowego i jakościowego. Nie możemy zamykać oczu i zatykać uszu wobec niewątpliwego zjawiska wzrostu młodocianych przestępców. W nawoływaniach do walki z demoralizacją nieletnich i zapobieganiu jej brzmieć muszą akcenty znajomości zjawiska, pełna wiedza o nim. Wykrycie i analiza wszystkich czynników, które prowadzą do zaburzeń przystosowania społecznego i przestępczości — może ułatwić podjęcie zabiegów leczniczo-resocjalizacyjnych i zapobiec dalszej demoralizacji nieletnich.

Ten motyw przewodził badaniom, które podjął **Instytut Problematyki Przestępczości.** Podstawowym ich celem było ustalenie trzech elementów: **po pierwsze** — jak często u młodzieży, popełniającej przestępstwa występuje upośledzenie sprawności intelektualnej i jaki jest stopień tego upośledzenia. **Po drugie** — jakie jeszcze czynniki mogą odgrywać rolę w etiologii zaburzeń przystosowania społecznego i przestępczości nieletnich. **Po trzecie** — czy istnieje współzależność pomiędzy obrazem wymienionych zaburzeń i stopniem wykolejenia a analizowanymi czynnikami przyczynowymi.

13—17 LAT

Studia przeprowadzono nad wynikami badań 225 pacjentów, przebywających na leczeniu w **Państwowym Sanatorium Neuropsychiatrii Dziecięcej w Garwolinie** (z powodu zaburzeń przystosowania społecznego) oraz 1227 nieletnich i młodocianych przestępców, zbadanych na polecenie sądów i prokuratur w **Ośrodku Diagnostyczno-Selekcyjnym przy Schronisku dla Nieletnich i Zakładzie Poprawczym.** Byli to chłopcy w wieku od 10 do 21 lat (przeciętna wieku wynosiła 15 lat), w większości uczęszczający do szkoły podstawowej, u których od roku do pięciu lat i więcej — narastały zaburzenia rozwoju osobowości. Wyrażały się one skłonnością do postaw przeciwspołecznych. Pacjentów i podopiecznych zakładów poddano badaniom ogólnolekarskim, psychiatrycznym, psychologicznym, w niektórych wypadkach zaś dodatkowym badaniom specjalistycznym. Uzupełniano dane wywiadem od rodziców bądź opiekunów oraz analizą środowiska rodzinnego i szkolnego.

Badanie inteligencji było pierwszym sprawdzianem, według którego zastosowano podział na grupy. **Do pierwszej** zaliczono przypadki niedorozwoju umysłowego stopnia lekkiego lub umiarkowanego. **Do drugiej** — chłopców na pograniczu niedorozwoju umysłowego, **do trzeciej** — wykazujących ociężałość umysłową, **do czwartej** — osoby o niskiej normie intelektualnej. **W grupie piątej** wyodrębniono chłopców o wysokiej normie intelektualnej, a w **szóstej** — o intelekcie powyżej normy.

Badanie wykazało, że osobnicy z niedorozwojem umysłowym i ociężałością umysłową stanowią 45 proc. Blisko połowa badanych wykazuje ociężałość umysłową lub niską formę intelektualną. To są dwie zdecydowanie najliczniejsze grupy, stanowiące środkowy trzon całości. Liczebność innych grup, tak w miarę wzrostu sprawności umysłowej, jak i jej spadku, ulega gwałtownemu zmniejszeniu.

Ponad 90 proc. badanych mieści się w przedziale 13—17 lat. Proszę zwrócić uwagę na szczegół: wśród chłopców z zaburzeniami przystosowania społecznego, leczonych w sanatorium, najwięcej było w wieku 14—15 lat, natomiast wśród nieletnich i młodocianych przestępców przeważali chłopcy w wieku 16—17 lat (blisko 52 proc.).

Z PSYCHIATRYCZNEGO PUNKTU WIDZENIA

Ocena psychiatryczna wykazała, że u przeszło 37 proc. badanych wystąpiły objawy przemawiające za istnieniem organicznego uszkodzenia centralnego układu nerwowego. W przeważającej liczbie przypadków były to dyskretne cechy organiczne świadczące o istnieniu lekkiej encefalopatii dziecięcej, powstałej w wyniku uszkodzenia mózgu we wczesnym dzieciństwie. Chłopcy ci wykazywali nadruchliwość, obniżenie sprawności motorycznej, trudności w koncentracji uwagi, obniżenie krytycyzmu, upośledzenie kierowania popędami, wybuchowość, chwiejność emocjonalną, skłonność do działań impulsywnych, niedorozwój uczuciowości wyższej z niedokształceniem poczucia wartości norm społecznych. Jakie były przyczyny uszkodzenia mózgu? Urazy porodowe i zamartwica, patologiczny przebieg ciąży, wcześniactwo, ciężkie choroby w okresie niemowlęcym, zapalenie opon i mózgu oraz ciężkie urazy czaszki z utratą przytomności, u 54 badanych stwierdzono alkoholizm młodzieńczy, siedmiu zaś zażywało środki odurzające.

KORELACJA Z PRZESTĘPCZOŚCIĄ

Stopień wykolejenia społecznego koreluje silnie z cechami uszkodzenia centralnego układu nerwowego. W grupie chłopców o znaczniejszym stopniu wykolejenia większy jest odsetek z cechami encefalopatii. Najczęściej popełnianym przez nieletnich przestępstwem są: kradzieże, włamania, rozboje, wymuszanie pieniędzy (73,3 proc. wszystkich popełnionych czynów przestępczych). Uwzględniając ponadto fakt, że duży odsetek przestępstw mających charakter chuligański, wymierzony jest przeciwko mieniu, można przyjąć, że wyżej wymieniony odsetek sięga 80 proc. Najwyższy procent kradzieży i włamań był popełniony przez sprawców z najniższym poziomem umysłowym. W miarę wzrostu inteligencji procent ten maleje. Odsetek rozbojów i wymuszeń był natomiast najniższy u osobników z niedorozwojem umysłowym, a wzrastał w miarę podnoszenia się poziomu intelektualnego. Porównanie rodzajów popełnionych przestępstw z danymi o stopniu uszkodzenia centralnego układu nerwowego wykazało szczególnie wysoki odsetek osobników encefalopatycznych w grupach sprawców przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu (50 proc.), podpaleń (36 proc.) i rozboju (34 proc.).

KTO I CO WINIEN CZYNIĆ?

Upośledzenie umysłowe jest jednym z istotnych czynników w etiologii zaburzeń przystosowania społecznego i przestępczości nieletnich. Tak brzmi wniosek generalny, wynikający z efektów badań. Za wnioskiem idą postulaty adresowane głównie do resortów oświaty i wychowania, zdrowia i opieki społecznej oraz sprawiedliwości. Niechęć do nauki i opóźnienie szkolne jest zwykle pierwszym i najistotniejszym objawem zaburzeń przystosowania, które następnie narastają stopniowo w typowej kolejności i często prowadzą do czynów przestępczych. W miarę wzrostu opóźnienia szkolnego wzrasta również stopień wykolejenia społecznego. Ponad jedną trzecią część dzieci z zaburzeniami przystosowania oraz nieletnich i młodocianych przestępców stanowili osobnicy z nieznacznym stopniem upośledzenia. Młodzież ta spotyka się zwykle z takimi samymi wymaganiami społecznymi i szkolnymi, jakie stawia się osobom w pełni sprawnym intelektualnie. Nie mogąc sprostać tym wymaganiom młodzi ludzie natrafiają na dezaprobatę i odrzucenie, co wywołuje u nich uczucie wrogości i buntu wobec społeczeństwa. Ich możliwości intelektualne nie kwalifikują ich ani do szkół specjalnych ani do szkół dla uczniów z normalnym poziomem umysłowym. Trudności szkolne zaczynają się w wyższych klasach. Wydaje się więc celowe rozważenie potrzeby stworzenia odrębnego programu dla nich właśnie. Problem ten staje się szczególnie ważny ze względu na wprowadzenie 10-letniego systemu nauczania. Resort oświaty powinien dokonywać w szkołach systematycznej selekcji dzieci z punktu ich trudności i ustalenia przyczyn. Dla każdej ustalonej grupy upośledzonych należałoby opracować naukę o specjalne programy nauczania. Dużą rolę mogą mieć w tym zakresie zespoły psychologów, pedagogów, socjologów i lekarzy pracujących w poradniach wychowawczo-zawodowych i przychodniach zdrowia psychicznego. Należy tylko działać w sposób zorganizowany i zsynchronizowany. Duże znaczenie dla omawianego problemu mają dobrze działające przychodnie zdrowia psychicznego i stąd wynika postulat pod adresem resortu zdrowia: każdy przypadek zaburzeń intelektualnych winien stać się przedmiotem starannych zabiegów terapeutycznych. Wiąże się to z koniecznością powiększenia sieci przychodni.

Resort sprawiedliwości zajmuje się przede wszystkim nieletnimi, którzy wymagają interwencji sądów. Wydaje się, że każdy nieletni, którym sąd się interesuje, powinien być poddawany szczegółowym badaniom w celu ustalenia przyczyny jego niedostosowania społecznego oraz wytyczenia kierunku resocjalizacji. W skomplikowanych przypadkach zaburzeń psychicznych należałoby stosować szerokie leczenie specjalistyczne.

Około 2/3 przypadków z zaburzeniami niedostosowania społecznego ma źródła w nieprawidłowym środowisku rodzinnym. Patologia rodziny, a więc alkoholizm jednego z rodziców, rodzina rozbita, niepełna, wychowanie poza nią, karalność członka rodziny — oto są elementy oddziałujące szczególnie niekorzystnie na dzieci o mniejszej wartości psychicznej. Proces demoralizacji rozpoczyna się u nich bardzo wcześnie i łatwo dochodzi do recydywy przestępczej. Przeglądając dane osobowe nieletnich sprawców i młodocianych, stających przed sądem, słuchając ich wyjaśnień — znajdujemy potwierdzenie tragicznych wpływów rodzinnych nieprawidłowości. Stąd wniosek i postulat niejednokrotnie wyrażany: trzeba się zająć energiczniej tą odrębną sferą życia rodzinnego — niewydolną wychowawczo.

Postulaty adresowane są także do organizacji społecznych. Skoordynowanie działań FSZMP, ZHP, Ligi Kobiet i TPD może być bardzo pomocne w rozwiązywaniu trudnego problemu społecznego.

ZOFIA TARNOWSKA

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WIŚNIAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC

DLACZEGO BUDUJĄ TAK BRZYDKO?

Dalszy ciąg ze str. 1

gminach. Naczelnicy wydają decyzje o budowach i mają bezpośredni wpływ na sposób zagospodarowywania przestrzennego wsi. Rola Głównego Architekta Województwa polega na tym, że określa on teren zabudowy i sposób zabudowy tego terenu poprzez opracowywanie planów miejscowych przestrzennego zagospodarowania obszarów wsi. I w zasadzie na tym się jego rola kończy.

Zjawisko chaotycznej zabudowy, nie posiadającej architektonicznego, dojrzałego wyrazu — jest niestety, zjawiskiem powszechnym. Przystępując do analizy tego zagadnienia, należy szukać przyczyn tego stanu znacznie głębiej: w kulturze budowlanej i kulturze zapotrzebowania społecznego. Pomimo, że zarówno budownictwo jednorodzinne, jak i zagrodowe było oparte o opracowane uprzednio plany i projekty typowe; jednakże inwestorzy nie przestrzegali dokumentacji, zgodności realizacji z dokumentacją (ta ostatnia nigdy nie była doskonała), a w czasie budowy odchodząc od niej popełniali jeszcze więcej błędów i odstępstw, które można śmiało zakwalifikować jako samowolę budowlaną.

Kolejną przyczyną, że jest tak jak jest, jest to, że wieś nasza nie była dotąd rozpatrywana jako organizm kompleksowy, lecz decyzje dotyczące budownictwa jednorodzinnego i zagrodowego na obszarach wsi były rozpatrywane każdorazowo indywidualnie, co w rezultacie nie dawało kompleksowego układu przestrzennego zespołu w układzie ulicy, osiedla czy ciągu urbanistycznego, ale tworzyło w konsekwencji zespół jakże przypadkowych form architektonicznych.

Innym elementem mającym poważny wpływ na sposób zagospodarowania przestrzennego jest sprawa wykonawstwa i materiałów budowlanych. W wykonawstwie nadal dominuje system polegający na wykorzystywaniu siły roboczej istniejącej na wsi. Wniosek: robotnicy o niskich kwalifikacjach nie zawsze mogą sprostać zadaniom, polegającym na wykonaniu nowoczesnego, dobrego budynku. Toteż winno się powołać przedsiębiorstwo, które tanio, szybko i w przystępny sposób przyjdzie z usługami do rolnika i pomoże w realizacji jego inwestycji. Ale tu wkracza sprawa kosztów (koszt budynku wznoszonego przez przedsiębiorstwo budowlane jest nieraz o 100% większy niż koszt tego samego budynku wzniesionego systemem gospodarczym).

Jeśli chodzi o kulturę społeczną, to na pierwszy plan wysuwa się sprawa gustów, upodobań i tendencji występujących na wsi. Polega to z grubsza na nawiązywaniu do wzorów budownictwa podmiejskiego, jakże obskurnego w swoim wyglądzie, wznoszonego w złym, drobnomieszczańskim guście. Najczęściej powielanym wzorem jest budynek parterowy, czasem piętrowy, z dwoma oknami „po froncie", z kopertowym dachem, ze schodkowym gzymsem. Ten schematyczny, opatrzony do znudzenia, a przy tym prymitywny kształt, powoduje naruszenie wyrazu naszej wsi, która niegdyś bazowała na innych układach przestrzennych. Od dawna zaniechano budynków o dwuspadowych dadach, które tak niegdyś znakomicie harmonizowały z otoczeniem, z drzewami, ogródkami, zabudowaniami gospodarskimi. W NRD i Szwajcarii wydano nakazy administracyjne zabraniające stosowania płaskich dachów. W ten sposób uzyskano jednorodny, a przecież urozmaicony wygląd terenów pozamiejskich.

Dziś można się ratować jeszcze poprzez wydanie walki wszelkiej samowoli. Należy wprowadzić bardziej zdecydowaną dyscyplinę administracyjną i bezwzględnie egzekwować realizację projektów o dobrym charakterze, nawiązującym do krajobrazu danej wsi. A tam, gdzie zabudowa stała się faktem nieodwracalnym — należy włączyć zieleń. Zieleń będzie nie tylko elementem dekoracyjnym, ale pozwoli ukryć potknięcia przestrzenne naruszające ład architektoniczny.

Ale wieś zaczyna się pomału zmieniać. Od tego roku zacznie się budować budynki mieszkaniowe dla kadry na wsi (pod pojęciem kadry rozumie się m. in. lekarzy, agronomów, lekarzy weterynarii, agrotechników, ludzi pracujących w handlu, w usługach itp.)

W Wojewódzkiej Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich wytypowano kilka gmin, gdzie takie budynki staną jeszcze w tej pięciolatce. Będą to gminy: Zapolice, Widawa, Osjaków, Lututów, Lutomiersk, Burzenin, Brzeźno i Konopnica. Dyrektor mgr Edward Miller bardzo się zapalił do tego planu, bowiem przy istniejących trudnościach z materiałami budowlanymi, w województwie sieradzkim znaleziono dość szczęśliwe rozwiązanie.

— Zanim pojedziemy do Kolumny — mówi — chcę powiedzieć, że jest to nasz pomysł. Budynki nasze staną na terenach całkowicie uzbrojonych kompleksowo: w wodę, kanalizację i CO. Musimy nasze budynki tak przygotować, by w pełni odpowiadały gustom ludzi, których zamierzamy ściągnąć na wieś. A wieś nasza, jak żadna inna, potrzebuje fachowców.

Kolumna. Na teren Zakładu Produkcji Materiałów Budowlanych wtaczają się ogromne ciężarówki, z bramy te same ciężarówki wywożą gotowe elementy budowlane.

— Co to jest LBM 73? — pytam z-cę dyr. ds. technicznych Bolesława Krawca.

— Jest to właśnie typ prefabrykatów, z których będą budowane domy dla kadry na wsi. Nowy system wytwarzania tych prefabrykatów w Łasku-Kolumnie został opracowany i wdrożony do produkcji w ciągu trzech kwartałów (dla porównania: budowa fabryki domów trwa parę lat). LBM 73 został opracowany przez „Bispol" w Warszawie, ale nie można było znaleźć wykonawcy form dla prefabrykatów. W końcu ulokowano je w Zakładzie Usług Galwanizacyjnych i Lakierniczych w Wieluniu. Do końca trzeciego kwartału formy znajdą się w Kolumnie i produkcja ruszy pełną parą.

Budynki, które tu nazywa się budynkami dla kadry, są bardzo proste w montażu, nie wymagają ciężkiego sprzętu. Zaplanowana zdolność produkcyjna wynosi 10 tys. m kwadratowych powierzchni użytkowej, czyli około 150 mieszkań o znacznie większej powierzchni mieszkaniowej — nawet do 70 m². Z tego typu prefabrykatów jeszcze w tym roku powstanie w Kolumnie pierwszy, 12-mieszkaniowy budynek.

Ktoś mógłby powiedzieć, że przecież takie prefabrykaty nie są niczym nowym, budownictwo wielkopłytowe jest powszechnie stosowane. Ale nie należy zapominać o sprawie niezwykle istotnej: na wi, gdzie będzie się wznosiło jeden pojedyńczy budynek nie ma ciężkiego sprzętu, potężnych dźwigów, wyposażenia. Te budynki będzie można montować systemem gospodarczym, bowiem opracowano już projekty budynków bliźniaków dla rolników indywidualnych.

Zainteresowanie samych gmin, w których mają stanąć budynki dla kadry, jest ogromne. Samo uzbrojenie terenów będzie kosztować 80 mln zł, a czym jest wybudowanie ścieków dla gmin leżących w dolinach rzek Warty i Grabi — nie trzeba nikogo przekonywać. Te dwa ciągi wodne będą stanowić w niedalekiej przyszłości ogromny zespół rekreacyjno-wypoczynkowy i czysta woda w rzekach jest sprawą najważniejszą.

Pisząc o budownictwie wiejskim, postawiłem pytanie, dlaczego jest takie brzydkie — i uzyskałem odpowiedź od Głównego Architekta Wojewódzkiego. Ale nie sama brzydota wznoszonych budowli zmusiła mnie do zadania z kolei następnego pytania, człowiekowi znającemu wieś i jej problemy od przysłowiowej podszewki: z-cy dyrektora Wydziału Rolnictwa, Leśnictwa i Skupu Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu inż. Józefowi Jankowskiemu. Pytanie brzmiało: dlaczego na wsi buduje się coraz mniej?

Sprawa jest skomplikowana, bowiem śledząc statystykę, można istotnie stwierdzić, że na terenie województwa sieradzkiego w porównaniu do I kwartału ub. r. nastąpił spadek ruchu budowlanego o całych 30 procent. Prawdą jest także, że w tym roku wydano zaledwie 1.626 pozwoleń na budowę (w analogicznym okresie ub. r. — 2.475 pozwoleń). Lecz statystyka jest martwym zapisem, nieruchomym porównaniem dwóch liczb. Owszem buduje się mniej, lecz kubatura tych budowli jest wielokrotnie większa niż tych sprzed lat. Wynika to z potrzeby ekonomicznej: wieś coraz bardziej przestawia się na hodowlę, powstają całe spółki hodowlane. Stąd i budynki inwentarskie są dużo większe. Oczywiście, proces postępu jest powolny, jeszcze największe nasielenie hodowli trzody chlewnej obserwuje się w sezonie wiosna-lato-jesień, a zanik jej w zimie. W cieplejszych miesiącach hodować można wszędzie: w kojcach z dachem, w zapuszczonych pomieszczeniach inwentarskich itp. Tak więc gdyby postęp szedł w parze z budownictwem — wzrost hodowli postępowałby bez zahamowań. Ale rolnicy zaczynają pomału wznosić nowoczesne budynki inwentarskie: z wodą, z taśmociągiem dla dostarczania paszy, z częścią przeznaczoną na karmę. Są zagrody gdzie w jednym budynku mieści się wszystko: chlewnia i stodoła, słowem jest to już budynek wielofunkcyjny, wyposażony w niezbędne maszyny i urządzenia dla obsługi czy to bydła czy trzody.

Aby pobudzić inicjatywę wśród chłopów, co roku organizuje się konkurs tzw. „Złotej wiechy". Obejmuje on budynki już wybudowane przez rolników, jak i te w budowie. Budynki, które zdobędą trzy pierwsze lokaty są natychmiast rozpropagowane wśród rolników jako te najbardziej praktyczne i funkcjonalne. Budynki te rolnicy wznoszą wg swoich własnych projektów, a w konkursie punktuje się ich funkcjonalność, rodzaj użytego materiału budowlanego, skąd pochodzi ten materiał (z puli rolnika czy z przydziału), jaki to materiał budowlany, a także punktuje się czas wznoszenia budowli.

Inż. Józef Jankowski opracowując plany przebudowy rolnictwa wybiega myślą w przyszłość, nie w tę najbliższą, lecz stara się aby niczego nie robić tylko na jutro, na czas, który za kilka lat stanie się uciążliwą przeszkodą dla postępu. Jeśli zaczynamy budować — mówi — to jest to budownictwo dla gospodarstw mających wszelkie szanse nieustannego rozwoju. Dziś dajemy „zielone światło" gospodarstwom specjalistycznym. W naszych planach nie ma miejsca dla gospodarstw karłowatych, małych, gdzie hoduje się po parę sztuk świń i po jednej krowie. Prawa postępu są nieubłagane: stare musi odejść, gospodarka socjalistyczna nie może rozwijać się bez planowej, intensywnej przebudowy i rozbudowy, nie może bazować na przestarzałych metodach gospodarowania nie zmienianych chyba od kilkunastu dziesięcioleci. Województwo sieradzkie istnieje zaledwie ponad rok, lecz mogę zapewnić, że w ciągu najbliższej pięciolatki dokona się na tej ziemi największa z rewolucji agrarnych...

O tej futurologii mówił także mgr inż. Jan Michalewicz, kiedy rozważaliśmy sprawy dotychczasowego budownictwa wiejskiego. Główny Architekt Województwa, niejako poza protokołem, powiedział rzecz znamienną, charakterystyczną dla ludzi myślących o swojej pracy z wyprzedzeniem. Powiedział mianowicie tak: — Mnie jako architekta nie opuszcza wizja tej wsi, powiedzmy za lat sto, czy dwieście. Bowiem jeśli mamy budować, to musimy budować z ogromnym wyprzedzeniem z takim rozmachem, by postęp nie uległ zahamowaniu mimo upływu czasu, by nasze dzisiejsze poczynania były wciąż aktualne i nowoczesne.

Myślę, że jest to odpowiedź na kolejne pytanie, jaka będzie polska wieś w przyszłości.

EUGENIUSZ IWANICKI

Fot.: W. Parys

Fot.: W. Parys

NIE TYLKO HISTORIA

PORTRET SZYMONA KONARSKIEGO

Odnalezienie, a następnie opublikowanie przed kilkoma laty „Dziennika" Szymona Konarskiego unaoczniło wszystkim, zajmującym się dziejami polskich konspiracji społecznych i wyzwoleńczych XIX wieku, potrzebę opracowania nowej monografii tego wybitnego działacza demokratycznego. Oczywiście, zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że „Dziennik" to jeszcze nie wszystko; wszak badania A. F. Smirnowa, W. A. Djakowa i innych uczonych ujawniły istnienie w radzieckich archiwach niespodziewanych zgoła materiałów, z których część z całą pewnością odnosi się do S. Konarskiego i „konarszczyzny". Materiały te mają się ukazać drukiem w zaplanowanym przez Akademie Nauk obu krajów, Polski i Związku Radzieckiego, obszernym, wielotomowym wydawnictwie. Prace zostały już rozpoczęte, ale zapewne wypadnie sporo poczekać na ich ukończenie, są bowiem niezmiernie żmudne. W tych warunkach, każda monografia o S. Konarskim, podobnie jak innym działaczu krajowej konspiracji z lat międzypowstaniowych, nawet wykorzystująca jak najskrupulatniej całość nowo ogłoszonego materiału, musi mieć charakter wstępny. Nie znaczy to, aby była niepotrzebna. Przeciwnie, jest jak najpotrzebniejsza, bowiem dawniejsze publikacje, w rodzaju biograficznych ujęć Henryka Mościckiego czy Witolda Łukaszewicza, by nie wspomnieć o dawniejszych, bardzo już się zestarzały, a postać S. Konarskiego z pewnością zasługuje na to, aby przybliżyć ją współczesnemu czytelnikowi taką, jak widzi ją współczesna nauka historyczna.

Dobrze, że Alina Barszczewska (dodajmy, że jest ona historykiem, działającym w łódzkim środowisku naukowym) ogłosiła w ramach cieszącej się znacznym powodzeniem „Biblioteki Wiedzy Historycznej" wydawnictwa „Wiedza Powszechna" (1976) książkę pt.: „Szymon Konarski". Jeszcze lepiej, że ogłosiła książkę bardzo udaną, zarówno w swej warstwie informacyjnej, jak pisarskiej: jest to dziełko znakomicie skonstruowane i jeszcze lepiej napisane. Dobrze wreszcie, że nadała swej pracy charakter popularnonaukowy, w najlepszym (acz nieczęsto dziś spotykanym) znaczeniu tego słowa. Tekst napisany został z pełną odpowiedzialnością zawodowego historyka, ale tak, żeby mógł go przeczytać nie tylko profesjonalista, lecz każdy, kto interesuje się tematem. Autorka nie zrezygnowała, rzecz jasna, z opatrzenia go naukową dokumentacją, umożliwiającą kontrolę jej rozważań; wszakże skromne przypiski, umieszczone na końcu tomu, nie stanowią balastu utrudniającego lekturę książki komuś, kto do nich nie będzie zaglądał.

Oczywiście, badacze dziejów Wielkiej Emigracji czy organizacji politycznych, działających na ziemiach polskich w okresie po powstaniu listopadowym, i tym razem będą mieli to czy owo do dorzucenia, być może także do skorygowania. Osobiście najbardziej pasjonuje mnie zagadnienie propagandy rewolucyjnej, prowadzonej przez S. Konarskiego po powrocie do kraju, jej środków i treści. Niejedno dałoby się tu dodać, coś też możnaby sprostować. Autorka określa rozpowszechnioną na Litwie, Podolu i Wołyniu „Pieśń rosyjskiego republikanina" mianem „ludowej wersji lelewelowskiej „Odezwy do Rosjan" i omawia ją na podstawie pracy A. F. Smirnowa. Do rękopisu, przechowywanego w Wilnie, dotarł również B. Łopuszański, który zacytował jego fragmenty. Ale dzisiaj już wiadomo, i to dokładnie, kto był autorem tej pieśni, znane są też dwie jej wczesne redakcje; napisana przez Leona Drewnickiego miała być utworem przeznaczonym do kolportowania w kraju, czym podobno — wynika to z jednego z listów autora — chciały się nawet zająć Gromady Ludu Polskiego. Ale o tym wszystkim autorka nie mogła wiedzieć, skoro zakończone już badania szczegółowe (piszącego te słowa) nie zostały uwieńczone drukiem pracy, zalegającej w jednym z naszych centralnych wydawnictw.

A. Barszczewska pokusiła się o portret S. Konarskiego, znacznie bardziej udany niż te, któreśmy znali dotychczas. A stało się tak między innymi dlatego, że uniknęła zwykłego schematu pisania o bohaterach, tego schematu, który na przykładzie książek o Joachimie Lelewelu bezlitośnie wykpił przed laty Józef Chałasiński. Autorka pokazała nie pomnik z brązu, ale żywego człowieka, ze wszystkimi jego ułomnościami, pasjami i wahaniami. Bardzo wiele materiału pod tym względem dostarczył jej „Dziennik". Korzystała z niego obficie, nie goniąc za sensacyjkami — których znalazłoby się wcale sporo — ale i nie retuszując, wzorem licznych autorów różnych biografii, cech osobowości swego bohatera. Potrafiła go wreszcie ukazać na szerokim tle ówczesnych spraw, w związku ze środowiskami, w których działał, w powiązaniu z głównymi problemami, nurtującymi ludzi tej, jednej z najtragiczniejszych epok w naszych dziejach. Dobrze, że książka taka została napisana; jeszcze lepiej, że autorce udało się uczynić to właśnie tak, jak o tym świadczy jej „Szymon Konarski".

LEKTOR

ZOFIA LORENTZ

WRZEŚNIOWA BALLADA

Jeden ze szpitali polowych Dowództwa Obrony Warszawy we wrześniu 1939 roku mieścił się w piętrowej oficynie drugorzędnej łaźni. Przy nawale rannych ciasnotę tego najmniej na szpital nadającego się lokalu pomnażały, nie dające się wymontować, ogromne wanny. Nie rezygnując z przestrzeni, jaką zajmowały, wkrótce zaczęto zakładać je deskami, często drzwiami z rozwalonych bombami domów i na takim podkładzie lokowano rannych. W miarę wzrastającego ostrzału artyleryjskiego i bombardowania z powietrza miasta zwiększał się nieustannie napływ rannych i już w połowie września szpital, zaplanowany na 150 pacjentów, mieścił ich powyżej trzystu, w wyniku czego połowa rannych leżała na ziemi, wypełniając każdy jej wolny skrawek w kabinach i korytarzu.

Osmego września przyniesiono na noszach żołnierza, który tak cuchnął terpentyną, że wypełnił tym zapachem cały szpital.

— Co jest? — wołali ranni — Co tu tak śmierdzi?

— Nie co, tylko kto? — mruczeli inni.

Sprawa nie od razu się wyjaśniła, chociaż wszyscy słyszeli polecenia Komendanta, dawane siostrom:

— Rozebrać do gołego i wszystkie rzeczy spalić w kotłowni. Tylko wrzucać ostrożnie, najlepiej po jednej sztuce, żeby się ogień nie rozniósł poza kocioł. Niech to zrobi dozorca. Zośka przyniesie dużą miskę pełną ciepłej wody. Siostro Stanisławo, proszę go dokładnie umyć. Całego. Włosy też. Dopiero później — na sól operacyjny.

Wszystko to zostało błyskawicznie wykonane i drażniący zapach terpentyny powoli zaczął się ulatniać z kabin.

Przyniesiony żołnierz nie był ranny, miał uszkodzenia ciała z jakiegoś przygniecenia i okaleczenia żelastwem. Groził mu tężec. Ale był zupełnie przytomny i gdy po zastrzyku przeciwtężcowym wniesiono go do kabiny, gdzie było wolne miejsce na jednej z wanien — skłonny do rozmowy.

Otoczyło go też zaraz paru ciekawych, co mu się też przydarzyło. Zapytany o to, zaczął się śmiać. I śmiał się tak długo i serdecznie, że pytający popatrzyli na siebie ze zdumieniem, któryś puknął się znacząco w czoło, a inny zapytał:

— Te, skąd cię przywieźli? / Bo może myślał, że od „czubków"/.

Aż tamten przestał się wreszcie śmiać i odpowiedział rzeczowo: — A z Woli.

— To już pod Wolę Niemcy podeszli? — spytał któryś z niedowierzaniem.

— Leżycie tu jak barany, to nic nie wiecie. Podeszły jeich czołgi pod samą barykadę, tę na Wolskiej, cośmy ją razem z cywilami z tamtejszych ulic zbudowali. A że też sapery nam pomogli, to ma ta barykada i stanowiska ogniowe. A mieliśmy dwa działa przeciwpancerne.

— A kto wami dowodził?

— A z którego pułku jesteś?

Pytania sypały się gęsto. Widać mu nie dowierzali.

— A z ósmej kompanii czterdziestego pułku piechoty pod porucznikiem Pacek-Kuźnierskim. Morowy chłop. Młody, ale z główką. Słuchajcie tylko, jakiego śpasa Niemiaszkom odstawił.

— No, no?

— Na południowej części naszego odcinka... niby tego, co go nasza kompania miała bronić, stojała fabryka chemiczna, co się Dobrolin zwie. Nasz porucznik, ledwie się z tą barykadą sprawił, poszedł obejrzeć te fabryke. Wrócił wesoły i powiada: „wicie co, chłopaki? sto beczek terpentyny w magazynach stoi. Słuchamy uważnie, ale niejeden se pomyślał: „I cóż ta z tego?". Ale on ta dobrze wiedzioł i powiada: „robota będzie ciężka te beczki wytoczyć na przedpole, odczopować i terpentyną przedpole zalać". A my, głupi, jeszcze nie rozumieli w czym rzecz, więc on, widzący to, ośmiał się i powiado: „czołgi się dopuści bliziuśko, a jak wejdą na przedpole, od jednej naszej salwy terpentyna się zapali". Dopiero wtedy te jego chytrość zrozumielim i dawaj te beczki tachać.

— Cholera! — wykrzyknęli słuchacze.

— No? — kończył z dumą ten z ósmej kompanii.

— I co też było dalej? Opowiadaj, bo trudno się od ciekawości strzymać — wołali słuchacze, których wciąż przybywało, bo ci z korytarza podeszli i pchali się do kabiny, a i siostry wcisnęły się, żeby sprawdzić, co się dzieje.

— No, i czekamy na te czołgi. Patrole, co je z wieczora porucznik wysłał meldują, że ich nie widzą. A tymczasem okrutna masa uchodźców i rozmaitych rozbitków ciągnie do miasta od rogatek i noc nadchodzi. A był rozkaz, żeby nocą nikogo do miasta nie wpuszczać. Ale jak nie wpuszczać, kiedy takie kupy idą ludzi i wozów, różnie. Nasz porucznik pewno myślał, że te czołgi też przepchać się nie mogą przez te ciżbe, i otworzył przejście w barykadzie. A wtedy znów wysłał w przód patrole, żeby mu dały znać, co jest z temy czołgamy.

— No, i dały?

— Pewnie, że dały. Ale już była godzina dziewiąta rano, jak się przysuwać zaczeny na ogonie tych furmanek. Wtenczas przejście w barykadzie my zamkli, co widzący reszta furmanek na boki, do pola zeszła. Już te czołgi podeszły blisko, a wtedy na sygnał trąbki (bo nasza kompania ma takiego Franka, co jest za trębacza) kompania dała ognia. O, rany! Co się też zaczeno dziać! Zapoliło sie całe przedpole zlane tą terpentyną, zapoliły się czołgi i samochody z piechotą, co za nimi szły. Nawet strzelać więcej nie było potrza.

Słuchacze dłuższą chwilę trwali w milczeniu. Jakby im dech zaparło. I dopiero któryś zapytał: — A ty? Co z tobą było?

— Ostały sie jeszcze trzy beczki pełne. Tak jakoś z boku stojały. Dojrzał je kapral Stasiak i powiada do mnie: — Odczopuj je, Pietrek, i spuść, bo ten jeden czołg z prawej strony za słabo dymi. Doskoczyłem do beczek, a te ścierwa akuratnie same ruszyły w dół. Tę pierwszą zdążyłem odczopować, a druga mnie przygnietła. Przewaliła się przeze mnie, cholera... Zdążyłem i z tej czop wypchnąć, ale też mnie oblała całuśkiego. Musiałek zemgleć, bom sie dopiero ocknął na noszach.

* ☆ *

Niejaki Felek z odstrzelonym uchem i głową obandażowaną naokolusieńko, ale będący na chodzie, przyszedł w odwiedziny do Widełki, który głośniej niż zwykle zawodził swoją bolesną piosenkę: „moje kollano". Widełka śpiewał ją ilekroć brakło mu sił, by zachować milczenie. Ale gdy wchodził ktoś obcy, milkł i uśmiechał się, ściskając swą jedyną ręką brzeg łóżka. Odłamek tak głęboko tkwiący w kolanie, że wydobyć go nie było sposobu, wzbierał przepisowo straszliwym wrzodem i podniósł temperaturę nieszczęsnego Widełki do czterdziestu stopni.

Felek siadł na niskim parapecie okna wychodzącego na podwórze i gadał byle co, spoglądając jednak od czasu do czasu na skwerek, gdzie zakopywano amputowane ręce i nogi pacjentów polowego szpitala nr 4.

Pozornie nic się tam teraz nie działo, ale gdy Felek nagle zamilkł,

— No, i czemuż to przestałeś gadać — zagadnął go Widełka, który choć piąte przez dziesiąte słuchał Felka, gdy ten umilkł, odczuł to jako krzywdę.

— A bo ktosik tu idzie.

— Któż taki? Gadaj.

— Kobita. Ale jakoś dziwnie idzie...

— Jakże to?

— Jakby była pijana.

— Głupiś. Skąd by wziena wódkę.

— Kiedy... potacza się.

— Widać chora jest, albo trafiona.

— Oho! Przystanęła i chyciła się ściany.

— Wołaj siostrę. A młoda jest?

— Młoda, młoda, ale jakby brzuchem gruba.

— Chybaj po siostrę. Nic innego nie jest, tylko przyszła tu rodzić.

Felek zeskoczył z parapetu i wypadł na korytarz z krzykiem:

— Siostro! Siostro!

— Czego się drzesz? — obsztorcowała go od razu siostra Stanisława.

— Niech no siotra leci na podwyrko do jednej kobity.

— Do jakiej „kobity"?

— Sama siostra obaczy. Byle prędko.

Już po chwili siostra Stanisława z Felkiem pospołu wnosili tę obcą kobietę i wszyscy słyszeli, co ona mówiła.

— Ja wiem, że to wojskowy szpital, ale do innego nie zdążę. Wody mi już odeszły... ja bardzo siostrę przepraszam...

— Do diabła z przepraszaniem — żachnęła się siostra — Rzecz w tym, że nie mam cię gdzie położyć.

— Na ziemi, siostro, w jakimś kącie...

— Ba, kiedy każdy skrawek podłogi zajęty... Niech tam który leci po Komendanta. Ej, wy tam, spod schodów! Zsuńcie się! Kobieta będzie rodzić. Miejsca jej trzeba.

W kabinach zawrzało: — Słyszeliście? Jeszcze tego nie było.

— Cicho tam! — krzyknęła siostra Stanisława — nie było, to będzie. Zośka, leć do kuchni grzać wodę. Niech tam który użyczy poduszki.

— Cholera! — mamrotali spędzeni spod schodów — tylko tego tu brakowało.

— Zapaskudzą podłogę, a jeszcze hałasu przysporzą...

— Pewnie. Nikt się jeszcze po/cichu nie rodził.

— Wynoście mi się stąd! — grzmiała siostra Stanisława na ciekawskich. — Który ojcem rodziny tylko niech zostanie do pomocy. Jazda!

Gdy nadbiegł Komendant, rodząca leżała już na jako tako czystym prześcieradle, z haftowaną poduszką pod głową (do niedawna pewno ozdobą jakiejś prywatnej kanapy), rozebrana do połowy i mokra od potu, z zagryzionymi wargami i zaciśniętymi w pięści dłońmi: Zaczynał się poród.

Z chwilą wejścia Komendanta ucichły wszystkie wydziwiania, a w miarę rozwoju procesu rodzenia zapadła trwożliwa cisza. Także Widełka zaprzestał swego zawodzenia, toteż słychać było teraz tylko jęki rodzącej.

Nie trwały jednak długo: poród był gwałtowny. Ledwo Komendant umył ręce, ledwo założył fartuch i przykląkł obok rodzącej — rozległo się słabe kwilenie noworodka, a w chwilę potem głośne klapsy, jakimi siostra Stanisława przywoływała malca do życia.

I nagle w całym szpitalu zawrzało. Nikt już nie narzekał, nie wydziwiał. Teraz chcieli się tylko dowiedzieć: chłopak czy dziewczyna... I gdy Komendant oznajmił wesoło: — No, chłopaki, macie syna! — rozległ się powszechny radosny śmiech, a nawet oklaski.

Wprawdzie położnicę już nazajutrz ulokowano w którymś z prywatnych mieszkań we frontowej kamienicy, ale we wszystkich kabinach szpitalnych zastanawiano się nad wyborem imienia dla noworodka.

Po długich naradach, bo propozycji było wiele, między jednym nalotem a drugim, zdecydowano się na imię, jakie nosił Komendant.

Tu jednak wynikła nowa trudność: nikt nie znał imienia Komendanta.

— Trza go zapytać — szybki, jak we wszystkim, decydował Widełka. Ale inni uważali tę formę za zbyt śmiałą.

— Niechby która siostra — proponował Baranowski.

— Przecie. Taka siostra Maria, ta starsza, może mieć większą znajomość z Komendantem, nie?

Zapytana siostra Maria wiedziała, że Komendantowi na imię — Stefan. I to właśnie imię przekazano matce noworodka, jako życzenie świadków narodzin chłopca...

— A żeniaty jest? — chciał jednak wiedzieć Widełka.

— I na co komu ta wiadomość? — gderała siostra Stanisława. Ważne, gdzie się rodził, albo z kim spał? Dobrze robi swoją robotę i sprawiedliwy jest. Potrzeba wam więcej?

— Potrzeba nie potrzeba, a chciałoby się wiedzieć o takim, co nie jest zwyczajny — wywodził swoje Widełka. — Kiedy mu się przypatruje, jak on się nad tym moim kolanem cuduje, to se myślę, że on okropnie chce, żeby mi te noge zratować. A bez co tak jest?

— Albo to tylko nad twoim kolanem się trzęsie? — próbował zgasić go Pelc. — W tym swoim wyrku tkwisz, to nie wiesz, co się gdzie indziej wyrabia.

— Jakże to nie wim? — oburzył się Widełka — abo to nie godom z ludźmi? Abo i z siostramy?

— Gaduła to ty jesteś. Każdemu to wiadomo — zgodził się Pelc.

— Mnie dużo nie trza, żeby się w człowieku rozeznał — pozornie kończył rozmowę tym chełpliwym stwierdzeniem Widełka. Bo nie minęło paru minut, żeby nie zaczął znowu: — Ale jak się tak nad czymsiś długo myśli, to się i domyśli.

— No i czego żeś się domyślił?

— Dlaczego un tak o mojom noge się staro.

— No, no?

— Bo żem sie mu zwierzył, że w naszej wsi, to jo byłem za pirszego tanecznika. Nie było zabawy przez Cześka Widełki. A jakem sobie jeszcze maluśko podpił, to jużem ani chwileczki nie posiedział. A dzieuchy mało się nie biły między sobą, jak muzyka uciena oberka, a chłopaki z dala stojący się naradzali, który którą pojmie. Każda chciała tańcować z Widełką.

— Ale się przechwalasz!

— Nie przechwolam się, ino samom prowde mówie. A roz, kiedym sie opił na fest i do bitki wzion i jednymu chłopakowi kołem z płota przyłożył, a gliny przyjechały, to mnie cało wieś broniła.

— I co, posadzili cię?

— Gdzie zaś! Wszystkie dzieuchy, a i co starsze kobity, zaświarczały, że nie jo żem zaczon bitke, ino tamten na mnie napod. A jeszcze i to, że to un kołek z płota wyrwał. Tak ich skołowały, a i wódką ugościły, że nikomu nic nie było.

— I to wszystko opowiedziałeś Komendantowi?

— Opowiedziołem — potwierdził Widełka.

— A Komendant co?

— Śmioł się. „Aleś chojrak" — powiedział. A jeszcze: „dobrze żeś mi to wszystko opowiedział, przynajmniej będę wiedział, kogo przed kalectwem bronię". No?

— Komendant jest cwany chłop.

— Cwany nie cwany, a teroz wisz, dlaczegom ciekaw, jaki un tyż jest w cywilu.

— W cywilu może być inny, a w szpitalu inny — filozofował Pelc, ale tylko przez przekorę, bo sam złego słowa na Komendanta powiedzianego by nie ścierpiał.

* ☆ *

A jak się rzecz miała z Walaszkiem? ...wypoczywali chwilę na skraju lasu. Przed sobą mieli ogromne pole buraków. Niespodziewanie od tyłu podeszły ich czołgi. On pierwszy je rozeznał w porannej mgle i pierwszy zaatakował granatami. Próbował potem odskoczyć. Ale potknął się i upadł. Usłyszał jeszcze eksplozję i poczuł straszliwy ból. Ale nic więcej nie pamięta. Gdy wrócił do przytomności, zapadał zmierzch. Wokół panowała cisza. Rozejrzał się, by sprawdzić gdzie też jest. Poznał zaraz buraczane pole. Leżał na ziemi nasiąkłej deszczem, między wilgotnymi liśćmi buraków. W pobliżu lasu. Musiał się chyba tu przyczołgać. Ale tego nie pamiętał. Nie czuł żadnego bólu. Stwierdził jednak, że nie czuje prawej nogi. Chciał się jej przyjrzeć, ale nie mógł podnieść nawet głowy. Poczuł wielkie pragnienie. Ale temu łatwo było zaradzić: liście buraków były mokre od deszczu, zrywał je i ssał. Nie wiedzieć na czym oparł nadzieję, że gdy przetrwa noc, rankiem ktoś go odnajdzie. Przygotował się więc do spędzenia nocy wśród buraków. I przetrwał ją sam na sam z drobnym, chłodnym deszczem i nadzieją na ocalenie.

— Miałeś, chłopie, szczęście — mówił Komendant, mając go już na stole operacyjnym — że ci tylko zmiażdżył nogę, a nie przejechał przez brzuch albo nie odciął głowy (Komendant mówił o czołgu). Ale Walaszek niewiele już rozumiał, co się do niego mówiło. Krzyczał: Nie odcinajcie mi nogi! Nie chcę! Nie dam! Wolę umrzeć!

— Siostro, chloroform!

— Czemuś to wołał, że wolisz umrzeć, niźli nogę stracić? — pytali go potem z naganą w głosie Pelc i Baranowski, którzy dowiedzieli się od sanitariuszy, tych co go przywieźli, że sprawdził się w polu i podany będzie do odznaczenia.

— A bo nie chciałem być kulasem — wyjaśniał, ocierając kułakiem oczy pełne łez — żeby się ze mnie ludzie w mojej wsi naśmiewali.

— Coś, ty głupi? — zirytował się Pelc — Kto się będzie naśmiewał? Dostaniesz protezę, przyszpilisz ją sobie do pasa, a potem naciągniesz na nią but... Słuchasz, co mówię?

— Słucham.

— Potem nasuniesz nogawkę od portek i ta wszystko pokryje. Tyle, że możesz maluśko utykać. Ale jak będziesz szedł w niedzielę do kościoła... jest w twojej wsi kościół?

— Jest.

— Noo! To sobie przypniesz medal i jak myślisz, na co ludzie będą patrzeć? Na twoje portki czy na medal?

— Ciekaw jestem, kto mu ten medal... wtrącił się do rozmowy cywil, leżący obok. Ale nie dokończył: siostra Stanisława, która weszła właśnie do kabiny i usłyszała o czym mówili, w samą porę dłonią zasłoniła usta cywila. Drgnął, zaskoczony, ale spotkawszy surowy wzrok siostry, zrozumiał widocznie w czym rzecz, bo nie dokończył rozpoczętego zdania.

* ☆ *

Ale życie w szpitalu polowym nie sprowadza się tylko do cierpienia. Ileż to razy siostry dyżurujące nocą wysłuchiwały rozmów swych pacjentów, rozmów nie mających nic wspólnego z cierpieniem, z lękiem przed śmiercią czy kalectwem.

Kiedyś na przykład wczesnym przedpołudniem przyniesiono żołnierza ciężko poparzonego. Był nieprzytomny. Aż tak ciężki stan poparzenia wzbudził zainteresowanie. Bo inna rzecz, gdyby to był cywil, to zrozumiałe: bomba uderzyła w dom i zapaliła, a taki cywilny gość nie zdążył wyskoczyć z mieszkania i ledwo go inni wyciągnęli już nadpalonego. Ale żołnierz? A jeszcze wieść przyszła od sióstr, że miały trudności z rozebraniem go, bo cały był oblany czymś tłustym, co się na nim zapiekło.

Długo debatowano nad tym, co by to mogło być. Siostra dyżurująca nocą wysłuchała gadaniny na ten temat, dochodzącej ją z podłogi. Cały korytarz zapchany był przecież leżącymi, z braku łóżek, na ziemi zasłanej kocami. W mroku nocnym miało się wrażenie, że to koce gadają ludzkimi głosami... I czyjś właśnie taki głos z dołu wyjaśniał:

— Ja wiem, bom się zdążył spytać tych sanitariuszy, co go przynieśli. A oni w śmiech, że kucharz.

— Jakże to?, powiedzieli „kucharza" i ośmieli się?

— A bo podobnież w kocioł trafiło z gorącą zupą. Widać ten kucharz przy nim stojał, to go oblało wrzątkiem. Jeszcze warzachiew w garści trzymał, jak go zabierali.

Po tym wyjaśnieniu zapadło chwilowe milczenie. I dopiero po dłuższej przerwie niewidoczni wszczęli przerwaną rozmowę.

— Nie było się z czego śmiać. Taki kucharz, co nie odszedł kotła w czas nalotu, to nie byle kto.

— Pewno. Drugi rzuciłby warzachiew w diabły i gonił w krzaki. Gówno by go obchodziło, czy chłopaki dostaną tę zupę albo nie. A mogli przecie nic nie jeść cały dzień, a może i dwa.

— No! Abo to raz tak bywało?

— Ja bym takiego kucharza do medalu podał.

— Może go i podadzą. Ale nie wiadomo, czy wyżyje.

Drzemiąca na niskim stołeczku w pobliżu siostra myślała, że temat został wyczerpany, bo dłuższy czas trwało milczenie. Ale się na tym nie skończyło: któryś przewrócił się ciężko na drugi bok i westchnąwszy, rzekł jakby sam do siebie:

— Ciekawość, co też w tym kotle gotował...

Ten i ów widać się namyślał, bo dopiero po chwili któryś dał pierszeństwo grochówce, inny wypowiedział się za krupnikiem, jeszcze inny wspomniał o gulaszu. Ale ten nie znalazł posłuchu.

— Chłopie, aby raz dawali gulasz. Na samym początku to było.

— Ale w krupniku kawały miecha mogłeś należć, nie?

— A znów w kapuśniaku — słoniny niemałe kawałki. Albo i skwarki.

— Nie gadajcie o skwarkach, bo mi ślina z gęby ciecze.

— Przestaniecie wy nareszcie gadać? — krzyknęła siostra.

Przestali. Ale przedtem któryś powiedział szeptem:

— Widać i jej skwarki zapachniały.

— Nie ma się co dziwić. Nic innego nie je, aby ten rozgotowany ryż, jako i my. A robotę ma ciężką...

Fragmenty powieści, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

ŻYCIE RODZINNE?

TESTAMENT JÓZEFA KOSIORKA

Fot.: W. Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

na pola sąsiadów. Uprawiać jeszcze trudniej, gdy wstążka ta pocięta i na krzyż podzielona pomiędzy dwóch właścicieli.

ZACZĄŁ SIĘ SPÓR

— Od domu aż po tamtą zapadlinę — prowadzi Siewierska — **ten kawałek jest mój. Dalej — aż, tam, hen, do zielonego — uprawia niby on. Za zielonym znów jest moje. Żeby się dostać na moje pole muszę obchodzić naokoło, bo on nawet miedze zaorał i przejść nie pozwala.**

Po drugiej stronie domu — za popowską ulicą — stoi stodoła Siewierskiej. Za stodołą ciągnie się mały sad z kilkudziesięcioma jabłonkami.

— Po to ja te drzewa sadziła, żeby teraz nie tknąć nawet owocu — żali się cicho Siewierska. **— A owoc marnieje, choć urodzaj duży. Najpierw to on swoje krowy do drzew powiązał, żeby korę objadły i gałęzie poniszczyły. A teraz mu mało, to jeszcze moje podpórki wywraca, sąsiadom w kartofle wrzuca, jak by mu co drzewa zawiniły. Moich krów już tu pasać nie mogę. Nawet mi ich przepędzić miedzą na łąkę nie daje. Nieraz się czaił za stodołą z kijem. Na kogo? Żebym tylko krów nie przeganiała. A przez to gnać muszę naokoło — przez czterdzieści pięć minut. Wygnać rano, przygnać na południe i potem znów — pod wieczór. Stare nogi bolą, a i krowiska umęczone.**

Stoimy pod stodółką. Działka, na której stodoła — też wspólna.

— Przedtem to nic wiadomo było, jak do stodoły wjechać — mówi Stefania Siewierska. **— Mówił: to je moje, nie wolno! Potem komisja przyznała mi cztery ary ziemi, żebyśmy mogli wjechać do stodoły. Jak tu żyć, jak pracować. Chłopaki tak się paliły do roboty. Marian, a najprędzej Józek, który nic, tylko na gospodarce robić. Traktor kupiły, oborę chciały stawiać. A teraz co? Spakować manatki i pójść sobie z ojcowego? A przecież ojcowy destament postanowił...**

MATKA I CÓRKA

Katarzyna z córką Stefanią zostały na gospodarstwie. Stefania uprawiała te trzy hektary z kawałkiem. Matka pomagała jej trochę, przede wszystkim jednak opiekowała się trójką dzieci. Stefania w ciągu kilku lat spłaciła wszystkie siostry. Chciała sprawy własności uregulować u rejenta, ale matka skrzętnie pozbierała wszelkie dokumenty i zamknęła na klucz w swojej skrzyni:

— Na co ci, Stefka, jeszcze pieniądze wydasz, przecie i tak, jak zemrę, wszystko będzie twoje!

Z upływem lat matka stawała się coraz trudniejsza we współżyciu. Kiedy przekroczyła siedemdziesiątkę, dawały się coraz bardziej odczuć skutki starczej demencji.

— Wiesz, Stefka, nie pasaj swoich krów koło stodoły — powiedziała jednego dnia. — Ja tu będę pasła swoją. **Ty jesteś młoda, możesz ją gnać za soszę.**

— Stefka, te kartofle za Piekłem — mówiła innego dnia — **ładnie latoś się udały. To pole będzie moje.**

W taki oto sposób morga dożywocia potroiła się. Stefania zaciskała zęby, matce się jednak ostro nie sprzeciwiała. Od dzieciństwa uczyła się respektu dla woli rodzicielskiej.

— Matka chcieli, to ja się godziła — wspomina dzisiaj. **— Nie przychodziło mi to bardzo trudno. Mówiła ja sobie przecie i tak wszystko będzie nasze.**

Z roku na rok sytuacja jednak komplikowała się. Zwłaszcza, że pomiędzy Katarzynę i jej córkę wtrącać się coraz bardziej poczęły osoby postronne, które buntowały zachłanną staruszkę przeciwko uległej Stefanii. Szczególną rolę odegrała tu **Aniela Siejka**, starsza siostra Stefanii, gospodarująca w Popowie na trzech hektarach. Za sprawą Anieli jej matka nie pozwoliła w końcu obrabiać Stefanii „swoich" działek, z których część legła odłogiem, część zaś uprawiał „po wierzchu" jej wnuk, syn Anieli, Stanisław, zwożąc zresztą plony do matki...

Takiemu stanowi rzeczy nie zdołała przeciwdziałać **Stefania Siewierska**, tym bardziej, że zupełnie nieoczekiwanie wystąpiło przeciwko niej.. prawo, reprezentowane przez niejaką ob. Plewkową z łowickiego urzędu, która w imieniu miejscowych władz wcieliła w życie ustawę „uwłaszczeniową" — ustawę z dnia 26.10.1971 roku o uregulowaniu własności gospodarstw rolnych.

WBREW FAKTOM

— **Pani Plewkowa** — wspomina Stefania Siewierska — **powiedziała wtedy, że ją destament nic a nic nie obchodzi, bo prawo mówi, że ten, kto użytkował, ten ma ziemię...**

Stefania Siewierska podpisała jakieś protokoły, jakieś papierki, nie zdając sobie sprawy, że podpisuje je na własną zgubę. Bo oto w listopadzie 1974 roku otrzymała urzędowe pismo:

„Nr ON — 451/4886/74. Akt własności ziemi. Na podstawie (...) Powiatowa Komisja d/s Uwłaszczeń w Łowiczu stwierdza, że ob. Stefania Siewierska, imiona rodziców: Józef, Katarzyna, ur. dnia 2.05.1923 r. zam. we wsi Popów z d. Kosiorek (...) stała się z mocy prawa właścicielem nieruchomości (działek) oznaczonych w ewidencji gruntów wsi Popów k.Łowicza nr nr 63,176,435,753.1219,1253,1120/2 o powierzchni 2,03 ha (...) wraz z zabudowaniami (...) Łowicz, dnia 28.XI.1974 r. Podpisano: Przewodniczący Komisji — sędzia Andrzej Foks".

Akt własności (ON — 452/4886/74) podobnej treści — z tym, że dotyczący działek nr nr 599,858/1,978,1133,1120/1 — otrzymała **Katarzyna Kosiorek.** Do aktów tych załączony został trzeci — ON — 451a/4886/74 — określający współwłasność **Katarzyny Kosiorek i Stefanii Siewierskiej** względem działki nr 858/2, na której stoi stodoła.

83-letnia staruszka, zniedołężniała i słabowita, stała się wbrew literze i duchowi ustawy, wbrew faktom i sprawiedliwości właścicielką prawie połowy gospodarstwa, podzielonego na domiar złego w absurdalny, uniemożliwiający jego normalne użytkowanie sposób. Nie dość na tym: **w chwili, gdy podpisywano akty własności Katarzyna już nie żyła, zmarła dwa miesiące wcześniej.** Ostatnie miesiące swego życia spędziła pod dachem nowo wybudowanego domu **Stanisława Siejki.**

Stefania Siewierska odwoływała się, oczywiście, od tych decyzji. Nie na wiele jej się zdała pomoc mecenas **Elżbiety Agackiej** z Zespołu Adwokackiego nr 8 w Łodzi, którą włączyła do sprawy siostra Stefanii — **Franciszka Wojda** ze Zgierza. Na nic też zdała się solidarna postawa pozostałych czterech sióstr, **Aniela Siejka i jej syn — Stanisław, postawili na swoim.**

Komisja do spraw Uwłaszczeń w Łowiczu dwukrotnie podtrzymywała tę decyzję. **Wojewódzka Komisja w Łodzi** (w składzie: przewodnicząca — mgr I. Makaruk; członkowie — mgr J. Włodarczyk i Z. Podkowiak) odrzuciła w dniu 24.02.1975 roku odwołanie. Naczelnik Gminy Łowicz — **J. Jackowski** aktami własności ON 451/1/76, ON 451/2/76 i ON 451/3/76 z dnia 5.01.1976 roku uznał ten stan prawny za ostateczny. Wreszcie **Zespół Orzekający Wojewódzkiej Komisji do spraw Uwłaszczenia przy Województwie Skierniewickim** (w składzie: przewodnicząca — mgr W. Czekierda, członkowie — mgr J. Hanuszkiewicz i B. Ostrowska) na posiedzeniu dn. 5 lipca 1976 roku **załatwił odmownie odwołanie Stefanii Siewierskiej od decyzji Naczelnika Gminy Łowicz,** utrzymując zaskarżone decyzje w mocy. Decyzja ta zresztą — z punktu widzenia na tryb postępowania administracyjnego — jest ostateczna.

MARTWE DUSZE

Żadne z urzędowych ciał nie raczyło zważyć na fakt, że w kółko przyznaje ziemię... zmarłej Katarzynie Kosiorek, odmawiając prawa do niej żyjącej Stefanii Siewierskiej. Żaden z zespołów rozpatrujących sprawę nie raczył nawet wziąć pod uwagę testamentu Józefa Kosiorka, każdy z nich natomiast opierał swoje decyzje na aktach notarialnych sprzed półwiecza. Żadna z komisji nie dostrzegła rzucającego się wręcz w oczy faktu, że **o schedę po Józefie Kosiorku walczy Aniela Siejka, która w całej sprawie jest tylko „martwą duszą".** Pracuje przecież w Łowiczu jako szkolna sprzątaczka, mieszka tam ponoć u swej córki — Jadwigi, nie obrabia nawet własnego pola, a cóż dopiero mówić o ziemi, którą Katarzyna Kosiorek zabrała własnej córce. **Żaden z zespołów orzekających nie zwrócił wreszcie uwagi na to, że Stanisław Siejka całkiem bezprawnie „uprawia" część majątku Kosiorków.**

Ani on przecież, ani jego matka nie są właścicielami działek przypisanych wątpliwymi aktami własności. **Katarzyna Kosiorek zapisała podobno tę ziemię córce — Anieli. Ta z kolei w w pół roku po śmierci matki złożyła do Sądu Powiatowego w Łowiczu wniosek o stwierdzenie nabycia spadku.** Cóż się okazało?

„Po rozpoznaniu w dniu 22 maja 1975 roku na rozprawie sprawy z wniosku Anieli Siejka z udziałem: Marianny Kapusta, Stefanii Siewiera (błąd, oczywiście: Siewierskiej — przyp. J. I.), Franciszki Wojda, Józefy Włodarczyk, Janiny Zabost o stwierdzenie nabycia spadku postanawia postępowanie w sprawie zawiesić na podstawie art. 177, par. 1, pkt. 6 kpc. Podpisano: sędzia J. Kozłowska. Uzasadnienie: Mimo upływu zakreślonego terminu wnioskodawczyni nie złożyła aktów stanu cywilnego, testamentu ojca i w związku z tym sprawa nie może otrzymać dalszego biegu (...)"

ZAGINIONY TESTAMENT

A gdzie jest najważniejszy dokument — **testament Józefa Kosiorka.** Przeglądając stertę dokumentów, jakie zrodziła ta sprawa, a na których badanie poświęcić musiałem całą bez mała noc — nie natrafiłem na wzmiankę o treści testamentu. Co się z nim stało?

— Mówiłam już, że matka zabrali wszystkie achty i destament ojcowy — wyjaśnia Stefania Siewierska. — **Trzymali je pod kluczem w skrzynce. A skrzynkę zabrali ze sobą do Siejków.**

Pytam w godzinę później **Stanisława Siejkę,** co się stało z testamentem jego dziadka?

— Jak to co? Złożyliśmy go w Urzędzie Wojewódzkim w Skierniewicach, a przedtem był w gminie w Łowiczu — odpowiada Siejka.

— I na żadnej z rozpraw nie brano go pod uwagę?

— Ano, nie — uśmiecha się Stanisław Siejka. — **Widać nie był taki ważny.**

— Nasze dokumenty zwykle dziwnym trafem — mówi Franciszka Wojda — **znajdowały się zawsze pod spodem. Naszych argumentów właściwie nikt nawet wysłuchać nie chciał. Mecenas Agacka chciała wnieść sprawę do sądu, ale urzędy nie chciały jej wydać wszystkich potrzebnych papierów. Na ostatnim posiedzeniu w Skierniewicach sprawa już chyliła się na naszą stronę, a tu raptem — bęc, wszystko od nowa. Wiedziałam zresztą, że znów tak będzie, jak tylko zobaczyłam, że mąż Jadzi — córki Anieli Siejki, kręci się po urzędzie i wita się z wszystkimi, jak z najlepszymi znajomymi...**

Ziemia niczyja, którą władze lokalne w kółko przypisują zmarłej Katarzynie Kosiorek, na dobre znalazła się już w rękach... Czyich właściwie? Domniemanej i nieformalnej spadkobierczyni — **Anieli Siejki?**

Rozmawiam ze **Stanisławem Siejką.** W cieniu — pod piętrowym, murowanym domem, do którego przytwierdzona **tabliczka z nazwiskiem właściciela: STANISŁAW SIEJKA.** Sam bohater z punktu widzenia formalno-prawnego jest rencistą, pobierającym skromną rentę inwalidzką. Faktycznie zaś...

— Mówi pan o ziemi, która została po Katarzynie Kosiorek, jak o swojej własnej, a przecież to nie pańska własność.

— No, nie, niby matki, ale to na jedno wychodzi, bo i tak ją uprawiam.

— Uprawia pan też trzy hektary ziemi swojej matki?

— No, niby tak, ale matka mi pomaga...

— Prócz tego dzierżawi pan z pięć hektarów z funduszu ziemi, od sąsiadów?

— A co, nie wolno? Każdy chce jakoś żyć.

— I jak pan, inwalida, sobie radzi z tym wszystkim?

— Ano, jakoś sobie radzę.

Na pożegnanie pyta Stanisław Siejka z niepokojem w głosie:

— Po jakim czasie testament traci ważność?

Odpowiadam, że nie wiem, chociaż wiem, że testament Józefa Kosiorka jest tym dokumentem, który mąci Siejkom spokój, tym bardziej, że tylu, żyjących nadal, świadków go podpisało. Rewanżuję się więc pytaniem:

— Będziecie się procesować?

— A jakże, ziemia nam się należy.

— Czyżby?

— Jak to? dlaczego?

— Dobry adwokat bez trudu wygra tę sprawę.

— My tam nie brali adwokata. Nam żaden adwokat niepotrzebny.

— Bo, co ?! Macie inne poparcie?!

— Stanisław Siejka — spłoszony — nie podejmuje już dalszej dyskusji.

CZY TYLKO POMYŁKA?

Ostatnia rozmowa. Tym razem z naczelnikiem gminy Łowicz — **JANEM JACKOWSKIM.** Naczelnik nie przypomina sobie sprawy. Cytuję mu więc jeden z dokumentów, który podpisał.

— Wie pan, redaktorze, trudno wymagać, żebym sprawdzał pod względem merytorycznym treść każdego dokumentu, jaki podpisuję. Ostatecznie przygotowują mi je kompetentni pracowniy i oni za to ponoszą odpowiedzialność.

Naczelnik nadal nie przypomina sobie sprawy, którą zaczynam mu streszczać od początku. Kiedy dochodzę do domniemanego testamentu, jaki miała przed śmiercią spisać Katarzyna Kosiorek, naczelnik przypomina sobie:

— Testament ten rzeczywiście istnieje. Zgodnie z moimi kompetencjami sam go sporządzałem w domu Stanisława Siejki.

Mamy więc już jasność. Mogę więc zadać kolejne pytanie.

— Czy mówi panu coś nazwisko Zgórzak?

— Tak, Jadwiga. Jadwiga Zgórzak pracowała w naszym Urzędzie Gminy, a teraz w Banku Rolnym. Tak, córka Anieli Siejki, a siostra Stanisława. A przy tym żona sekretarza gminy w Wyszkowicach...

— W porządku. Niech pan zatem powie, wracając do meritum sprawy, jak należy traktować fakt, że w ramach wcielania w życie sprawiedliwej i słusznej ustawy przyznano, niesprawiedliwych podstaw, aby wejść w jej ziemię 83-letniej zniedołężniałej staruszce, która przecież nie miała zbyt wielikch podstaw, aby wejść w jej posiadanie?

— No, wie pan. Przy realizacji ustawy, w tym wielkim natłoku spraw zdarzały się różne pomyłki.

— Pomyłka? Dobrze, jak więc można nazwać fakt, że wielokrotnie ponawiane próby wyjaśnienia i naprawienia pomyłki spełzły na niczym, natrafiając na zadziwiająco solidarny mur?

— Ależ ja naprawdę nie ponoszę za to odpowiedzialności, po prostu zostałem podprowadzony. Na dobrą sprawę całą tą historią mogłaby się zająć Najwyższa Izba Kontroli.

— I jak tak sądzę. Powiem więcej: myślę, że p o w i n n a się zająć!

JACEK INDELAK

PS. Na marginesie: ciekawostka. Otóż, przez 19 lat nakazy podatkowe przychodziły do Popowa wystawiane na nazwisko zmarłego Józefa Kosiorka. Ciekawe, przez ile następnych lat wezwania płatnicze niepokoić będą zmarłą przed dwoma laty Katarzynę Kosiorek. Czyżby w urzędach odpowiedzialnych za całą tę sprawę wierzono nie tylko w cuda, ale i w duchy oraz życie pozagrobowe?

LEWYM OKIEM

Tłumy z nożami w rękach

Znów jak co roku ruszyły w Polskę nieprzebrane rzesze grzybiarzy. Każde przedsiębiorstwo, zakład, biuro, centrala, spółdzielnia, każde koło, komitet i stowarzyszenie uważa za swój obowiązek dać co tydzień autokar (tak zwany socjalny) do dyspozycji gromady ludzi, którzy per fas et nefas, porzucając mężów, żony, dzieci, ba! nawet telewizory, gnają do lasu na połów kozaków i borowików. Jeśli jest wolna sobota to autokary ruszają o ciemnym przedświcie. Jeśli to jest sobota robocza — wyjazd następuje parę godzin później, po podpisaniu listy obecności w miejscu pracy. Kierowca czeka w pełnej gotowości, boć składkowa remuneracja go nie minie, a na pożegnanie jeszcze pasażerowie pół litra „na później" zostawią, żeby nikomu krzywda nie była.

Krzywda oczywiście dzieje się i tak, i to wielka. Komu? Naszym lasom. Te masowe grzybobrania z nagonką, te wyraje setek tysięcy ludzi do coraz skromniejszych i coraz bardziej karlejących naszych — pożal się, Boże — „ostępów leśnych" to już nic innego jak narodowa obsesja, jak zbiorowa psychoza. Wszystkie środki masowego przekazu tę psychozę podtrzymują. Prasa niemal codziennie ogłasza komunikaty jakie to borowiki wysypały się wokół Piszu, jakie rydze pod Tucholą, jak żółto od kurek w okolicach Lututowa. Tygodniki zamieszczają artykulasy na cztery kolumny z dziesiątkami apetycznych zdjęć. Zbierajcie grzyby! Jedziemy na grzyby! Hajże na maślaka!

Minęły na szczęście czasy, kiedy z dumą rok w rok pisaliśmy o tym, jakim to wspaniałym artykułem są nasze grzyby, a obok nich — ślimaki i żaby. „Polskie rydze na francuskich stołach!"— pisał z żenującym patosem poważny tygodnik. Mamy już dużo więcej i lepszych i cenniejszych rzeczy do zaoferowania, także Francuzom. Owszem, niech działają jak najenergiczniej punkty skupu Spółdzielni „Las" (teraz to już na pewno inna instytucja, inaczej zwana), ale nie łączmy tej skupowej akcji w żadnym razie z masowym wywozem mieszczuchów na zbiorowe grzybobranie. Do skupu trafią wyłącznie grzyby uzbierane przez mieszkańców leśnych i podleśnych wsi, tych co latają do znajomych miejsc co rano, a czym wcześniej tym lepiej — nie dlatego, że grzybów rano więcej, tylko że trzeba wyprzedzić konkurentów — zbieraczy. Nie łudźmy się też, że owe tłumy z koszykami i nożami w rękach wypełniają bezpłatnie państwowe i spółdzielcze autokary gwoli godziwego relaksu, odpoczynku i zdrowej rozrywki na świeżym powietrzu. Spróbujcie tych samych ludzi namówić na jakąkolwiek wycieczkę poza sezonem grzybowym: ani pięciu procent frekwencji się nie doliczycie, chyba że w ramach takiej wycieczki rada zakładowa zafunduje jeszcze za trzysta złotych operę, czerwone gitary i ognisko z bigosem (czytaj: z żytniówą). Prawdziwym zaś motorem uruchamiającym rzekomą miłość natury i hobbystyczne upodobanie jest prosty fakt, że kilo suszonych grzybów kosztuje zimą półtora tysiąca złotych, a lubimy kapustę z grzybkami, i zupę grzybową, i pierożki. Nasi „hobbyści", zapatrzeni w miraż owych tysięcy złotych, nie będą się ceckać ze starannym podbieraniem grzybów, nie przepuszczą najmniejszemu maślakowemu oseskowi, będą ryć leśne poszycie kijami, motykami, grabiami, będą łamać i deptać wszystko co na drodze. Nie czarujmy się — to przecież tak właśnie wygląda! Przecież lasy w poniedziałki jesienne wyglądają jak po przejściu milionowej armii, tuż za frontem...

Obyśmy się nie opamiętali za późno, jak niektóre kraje, gdzie w ogóle pod surowymi karami zabroniono zbierać jakiekolwiek grzyby. Poszarpanie misternych grzybni to nie taka tam sobie malutka sprawka, to — jak stwierdzają specjaliści — istotne naruszenie ekologicznej harmonii lasu. Chcielibyście doczekać takich zakazów? Takiej absolutnej grzybowej prohibicji? Bo ja nie, jako żywo. Niechże nam służy przez wiele jeszcze lat prawo pójścia sobie spacerkiem do lasu, no — wypuszczenia się nawet z żoną na weekend z koszyczkiem plecionym w ręku i z atlasem „Grzybów jadalnych" Orłosia w kieszeni. Ale proponuję od zaraz zaniechać robienia koło grzybobrania takiej atmosfery, jak w swoim czasie wokół „biegów narodowych". Nie organizować masowej rzezi wszystkiego co wystaje z ziemi! Zalecić, czy nakazać wszystkim niezbyt pomysłowym referentom socjalnym i tym od czasu wolnego i jak się tam jeszcze zwą, żeby znaleźli inny sposób wydawania odnośnych funduszów społecznych. Po co angażować te fundusze w akcję nieodwracalnie niszczącą nasze lasy, które też są przecież wartością społeczną?

ĆWIEK

KONTAKTY - IRAN

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

TRZYNASTEGO W PIĄTEK

Wyruszyliśmy 13 sierpnia 1976 roku, w piątek. Taki zbieg trzynastki i piątku zwielokrotnia ponoć pecha. Długo więc rozważano przed wyjazdem w zespole **Państwowego Teatru Lalkowego „ARLEKIN"** co może spotkać tych, którzy jadą do Iranu na występy fetiwalowe w Teheranie. Wymyślono wiele różnych możliwości, o których nie będę wspominał, gdyż czyniono to w żartach. Ale mimo wszystko, kiedy 13 sierpnia 1976 roku wsiadaliśmy do teatralnego autokaru, wszyscy byli lekko niespokojni.

Wróciliśmy z Teheranu 24 sierpnia 1976 roku, cali, żywi, zdrowi, opaleni, zmęczeni piekielnie, ale zadowoleni. Powodów do zadowolenia było sporo. Piątek i trzynastka okazały się więc dla **„Arlekina"** nie tyle pechowe, co szczęśliwe. A jednak zaczęło się nie najlepiej.

Tu czuję się w obowiązku złożyć małe wyjaśnienie. Towarzyszyłem zespołowi do Iranu, jako przedstawiciel łódzkiej prasy, a „ODGŁOSÓW" przede wszystkim. Często jednak moje miejsce przy wspólnym stole świeciło pustką, jako że nie tylko chciałem widzieć występy „Arlekina", ale i zebrać materiał do cyklu artykułów o Iranie. Odbyłem więc interesującą podróż przez pustynię w głąb Iranu. Spotkałem Polaków na irańskiej wsi. Odbyłem szereg wielce interesujących rozmów. Chodziłem, jeździłem i patrzyłem, aby to wszystko później wiernie opisać. Przygotowuję cykl artykułów z tej podróży, ale tak się składa, że jadę dalej i w tej pierwszej korespondencji z naszej arcyciekawej podróży nie chciałbym wykorzystywać tego, co zaplanowałem sobie do następnych. Dlatego nie będzie wyjaśnienia, dlaczego zaczęło się nie najlepiej. Będzie tylko garść pierwszych wrażeń. Za co Czytelników serdecznie przepraszam i obiecuję, że wszystko postaram się dokładnie później opisać.

Trochę sobie ten Iran inaczej wyobrażaliśmy.

— **Gdzie są te palmy i ten tropik?** — pytały na zmianę Grażyna Wodzowa i Jolanta Basińska.

Nie było palm i nie było tropiku. Nie było go w Teheranie, gdzie zespół „Arlekina" bawił przez 10 dni. Nie było go również tam, gdzie udało mi się w tym czasie dojechać w Isfahanie i jeszcze dalej — w Naghshe Djahan. Ale tropik jest w Iranie: po północnej stronie gór, u stóp których, albo raczej na zboczach których leży Teheran. No i oczywiście na południu, gdzie są pola naftowe i porty nad Zatoką Perską.

Nie było też ameby, której się tak wszyscy obawiali. Nie było jej przynajmniej w Teheranie, ani też w Isfahanie, gdzie można było spokojnie i bezpiecznie pić wodę doprowadzaną z gór. Bardzo dobrą wodę. Szczególnie smaczną w Isfahanie, którą nawet z tego miasta dowozili sobie Polacy pracujący i mieszkający w Naghshe Djahan. A dowozili ją z odległości 40 km, bowiem woda miejscowa nie była tak smaczna.

Teheran leży na podgórzach Elbrusu. Mówi się, że leży on na wysokości 1 200 metrów nad poziomem morza. Ale to nie jest cała prawda. Mieszkaliśmy w hotelu „Miami", który położony był przy Pahlavi Street, ciągnącej się około 20 km i który znajdował się na wysokości jakichś 1 500 metrów nad poziomem morza. A zespół **„Arlekina"** występował przez sześć wieczorów w teherańskim amfiteatrze, położonym na wysokości 1 700 metrów nad poziomem morza i oddalonym od hotelu o... 20 km.

Wracaliśmy kiedyś samochodem — bo po Teheranie można poruszać się tylko samochodem, ale to już inny temat — i widzieliśmy co jakiś czas palące się lampy przy ulicy, tuż przy jezdni, przy których siedzieli mężczyźni.

— Co to jest? — zapytałem naszego kierowcę.

Zatrzymał samochód przy najbliższej lampie i wtedy okazało się, że są to sprzedawcy... orzechów. Wielkich jak kurze jaja trzeciego gatunku. Już obranych ze skórki, moczących się w solonej wodzie. Kupiliśmy takie orzechy i jadłem je spokojnie, a moi towarzysze z „Arlekina" ledwie spróbowali.

— Jedzcie! — zachęcałem. — Będę się później w Polsce chwalił, że jadłem orzechy wielkości kurzego jajka.

— **Lekarzowi** — powiedział na to Zdzisław Owsik. I okazało się, że wszyscy dokładnie przestudiowali specjalną broszurkę, która informuje, co Europejczykowi grozi w tropiku. Ale w Teheranie tropiku nie było. A wielu członków zespołu **„Arlekina"** nie wie do końca jak smakuje i jaka jest kuchnia irańska. Ja wiem. Tylko, gdybym miał dokładnie powiedzieć co jadłem, będę miał z tym poważne trudności.

Zaczęło się wszystko w piątek, 13 sierpnia 1976 roku, ale nie był to pechowy początek, chociaż zaczynało się nie najlepiej. Po wylądowaniu w Iranie również. Mimo wszystko trzynastka była dla **„Arlekina"** szczęśliwa. Spotkaliśmy się w Teheranie z dużym zainteresowaniem i sympatią. Można bez przesady powiedzieć, że łódzki teatr odnosił sukces w Iranie.

Wiele było kłopotu przed teherańską premierą „Szewca Kopytko i Kaczora Kwaka". Martwił się o premierę dyrektor teatru — **Stanisław Ochmański**, martwił się reżyser przedstawienia — **Henryk Ryl**. Jak się później okazało — niepotrzebnie. Już pierwsze przedstawienie spotkało się z życzliwym przyjęciem i ogromnym zainteresowaniem. Dała temu wyraz prasa teherańska i tamtejsze radio. Ale niezapomniana dla zespołu **„Arlekina"** będzie reakcja teherańskiej młodej i nie tylko młodej widowni. Dzieci stawiały sobie za punkt honoru przywitanie się z „Shoemakerem Kopitko" i „Duck Quak", a także z innymi aktorami, których przejście przez widownię — a takie były założenia reżyserskie — kończyły się irańsko-polskim brataniem się.

Zyskaliśmy sporo przyjaciół w Iranie. I — jak twierdzili ci, którzy widzieli występy innych — polski zespół był najserdeczniej przyjmowany. A przed „Arlekinem" występowali w teherańskim amfiteatrze Amerykanie, Kanadyjczycy, Włosi, Francuzi, teatr z Rygi oraz sami Irańczycy. „The International Puppet Festival" jest bowiem tak pomyślaną imprezą, w której prezentowane są widowiska lalkowe z różnych krajów, ale nie dla warsztatowych porównań, jedynie dla teherańskiego młodego i nie tylko młodego widza. Trwał ten festiwal od 20 czerwca do 20 sierpnia 1976 roku. Jest to idea wielce interesująca i niewątpliwie pożyteczna.

Nasz pobyt w Iranie przypadł akurat na obchody 50-lecia panowania dynastii Pahlavi. Dynastię tę założył ojciec panującego obecnie Mohammada Rezy Pahlavi — Reza Chan, który przybrał nazwisko Pahlavi, a którego zwano Rezą Wielkim. On właściwie zapoczątkował reformy, jakie mają miejsce dziś w Iranie. Chciał — po obaleniu dynastii Kadżarów — ogłosić Persję republiką, ale sprzeciwił się temu Parlament i ofiarował mu koronę. Reza Wielki abdykował we wrześniu 1941 roku. 12 października 1971 roku odbyły się w Persopolis uroczystości z okazji 2500-lecia państwa perskiego. Były to wspaniałe uroczystości. Wypożyczono wtedy klejnoty z Banku Narodowego w Teheranie, w którego skarbcu miałem okazję być i klejnoty te podziwiać. I myślę, że chyba już nigdy w życiu nie uda mi się zobaczyć w jednym miejscu zgromadzonego tak ogromnego bogactwa, którego wartość mierzy się nie tylko aktualną ceną złota, diamentów, szlachetnych kamieni, ale przede wszystkim ogromnym kunsztem rzemieślników, którzy to wszystko wykonali.

Uroczystości dla uczczenia 50-lecia panowania dynastii Pahlavi nie były oczywiście tak bogate, nie miały tak wielkiej oprawy. Był to po prostu wielki, trwający prawie trzy dni festyn. Widzieliśmy przemarsz wojsk irańskich ulicą Pahlavi, zabawy w parkach, bogate iluminacje. Widzieliśmy mały fragmencik tego, co się w tym czasie działo w Teheranie.

Dobiegały w tym czasie końca występy **„Arlekina"**. Kończył się festiwal. Pozostały zespołowi jeszcze trzy dni pobytu w Iranie. I wtedy organizatorzy zapytali, co aktorzy łódzkiego teatru chcieliby jeszcze zobaczyć.

— **Pustynię!** — odpowiedziano chórem.

— **Pustynię?**— zdziwili się Irańczycy — **Przecież tam nic nie ma.**

Istotnie. Nic nie ma. A poza tym nie jest to pustynia znana nam ze szkolnych ilustracji i nie kojarzy się wcale z Saharą. To po prostu trzeba zobaczyć. Kto nie widział pustyni, ten nie zna Iranu. Widzieliśmy, ale Iran poznaliśmy tylko we fragmencie. Dobre i to.

EMANCYPACJA

Dalszy ciąg ze str. 1

EWY W NATARCIU

Na zapaśniczej macie najlepsze są Ewy z Hamburga, choć im długo wstępu na matę wzbraniano. Ze względów hm... „estetycznych". Dziś jest to już zamierzchła przeszłość. W telewizorze ogląda się tam nie takie zawody. Walki judo należą do najpopularniejszych. W Chicago pojawiła się „straszliwa" baba w bokserskich rękawicach. Ma ponoć piekielny lewy sierp. Mary Brook szaleje. Jest nie do pokonania. Wzywa już nawet mężczyzn do walki. Rzuciła im rękawicę. Tylko, że jakoś nikt z bokserów tej rękawicy nie podnosi. Przegrać z babą? O... tego jeszcze brakowało.

Już dawno mawiano, że złoto próbuje się ogniem, kobietę złotem, a mężczyznę to już próbuje się... kobietą. Coraz częściej wszakże kobiety wypróbowują się same. Na boiskach. Na bieżniach. W sportowych halach i na pływalniach. Kobiety sięgają po te najwyższe i najceniejsze sportowe trofea. Cóż by dla przykładu oznaczał radziecki sport bez kobiet. Połowę medali olimpijskich zdobywają zazwyczaj Sonie, Tamary oraz Iriny. Tylko patrzeć, a niewiasty wedrą się do dyscyplin dziś jeszcze niedostępnych dla „adamowego żebra". Już wkrótce prawdopodobnie sięgną po olimpijskie laury także w skoku o tyczce, w rzucie młotem, w biegu na 5 i 10 kilometrów, no i oczywiście w klasycznym maratonie. To już tylko kwestia czasu i niczego więcej. A jeszcze niedawno zdawać się mogło, że co jak co, lecz kobieta może celować jedynie w tańcach i miłej dla oka gimnastyce.

Pierwszy szept o sportowych sukcesach młodziutkich niekiedy dziewcząt rozszedł się po Europie już w 1928 roku. Wówczas to stanęły do startu na Olimpiadzie w Amsterdamie pierwsze dobrze urodzone panienki. Szept poszedł po świecie, prawda, bardzo jednak wąziutkim odbił się echem. Było fiasko. Nie całkowite, ale zawsze. Otóż do biegu na 800 metrów stanęła czwórka dziewcząt, z których jedna tylko dobiegła do mety. Pozostałe padły z wyczerpania tuż przed metą. Natychmiast tę konkurencję skreślono. Uznano, że dystans stanowczo jest dla kobiet za długi, za morderczy, po prostu nieludzkich by trzeba wysiłków ze strony dziewcząt, by podołać takiemu wyzwaniu. Dopiero w 1960 roku, podczas Olimpiady w Rzymie, dopuszczono kobiety ponownie do startu na dystansie 800 metrów. Rzecz ciekawa, wszystkie uczestniczki dobiegły do mety cało i zdrowo. Pierwsza na mecie odnotowała czas o 10 sekund lepszy od zwyciężczyni z Amsterdamu.

Czym to wytłumaczyć?

Lekarze mają na to gotową odpowiedź. W Rzymie stanęły na starcie dziewczyta po długim, wyczerpującym treningu. Więc ich organizm zdążył dostroić się do wymagań. Wszystko w sporcie zależy w gruncie rzeczy od treningu, odżywienia i stylu życia. Niech ktoś dziś powie Irenie Szewińskiej, że jest gorsza od mężczyzn. Od przygniatającej większości mężczyzn jest lepsza. O niebo całe lepsza. Rzecz godna zastanowienia. Kobiety robią od pewnego czasu większe postępy w sporcie wyczynowym niż mężczyźni. W każdej dosłownie dziedzinie sportu dystans dzielący najlepsze wyniki kobiet od najlepszych wyników mężczyzn ulega gwałtownym zmniejszeniom.

Dotyczy to zwłaszcza lekkiej atletyki i pływania.

Australijski genetyk Dyer z uniwersytetu w Adelaide zajął się opracowaniem sportowych tabel porównawczych. Dowiódł, że w ostatnich 20 latach różnica najlepszych czasów w biegach męskich i kobiecych zmalała z 24 procent do 9—11 procent. Zresztą nie tylko Polki i Australijki bardzo są szybkonogie. Jeszcze lepsze są dziewczęta z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. To one naciskają najbardziej. Depczą wyraźnie mężczyznom po piętach. Te dziewczęta na bieżniach i skoczniach doprawdy szaleją. Nic już nie mówiąc o pływaniu.

Profesor Dyer z Australii zajął się innym jeszcze problemem. Porównywał najlepsze wyniki osiągane przez kobiety i mężczyzn w różnych krajach. Przy czym wziął pod uwagę 7 podstawowych dyscyplin sportowych. Wyliczył, że w Holandii kobiety są gorsze od mężczyzn o 13 procent, w Związku Radzieckim 12,5, w NRD ta różnica wynosi już tylko 12 procent, choć w Republice Federalnej Niemiec oscyluje wokół 14 procent. Najbardziej jednak zaskakują rezultaty uzyskiwane przez kobiety w pływaniu. Powiadamy kobiety, w tym wypadku są to jednak głównie, jeśli nie wyłącznie, „nastolatki". Pływacy w NRD są już tylko o 5 procent lepsi od pływaczek. I ten dystans, już dziś niezwykle nikły, wciąż maleje.

Kto z nas, starszych już łodzian, nie pamięta sławnego filmowego Tarzana, zatem Johny Weismüllera we własnej jakże męskiej osobie. Weismüller był wielokrotnym mistrzem świata w pływaniu. Był, owszem, ale jego wyniki dawno już zostały wymazane z tabeli rekordów przez 15-letnie dziewczęta. W 1924 roku Weismüller ustanowił nieprawdopodobny, jak na owe czasy, rekord na 400 metrów w kraulu. Przepłynął ten dystans w czasie 5:042 minuty. Shane Gould, trzykrotna zdobywczyni złotych medali na Olimpiadzie w 1972 roku w Monachium, przepłynęła ten dystans w czasie 4:19,04 minuty.

Ewy spychają mężczyzn na dalsze pozycje nie tylko w sporcie. Niewiasty wspinają się coraz wyżej i wyżej po szczeblach społecznej również drabiny. Są ministrami, premierami, dyrektorami, kierują instytutami badawczymi. Są w natarciu. Zdobywają wszystkie te pozycje, które nie tak dawno zastrzeżone były, bądź prawem bądź tradycją, wyłącznie dla mężczyzn, bo już Eurypides dowodził, że „uczona" kobieta jest czymś wielce zniechęcającym. Kobiety stają się niezależne nawet w krajach postkolonialnych.

Niekiedy dochodzi do zabawnych na tym tle nieporozumień. Tygodnik „Ivoire — Dimanche", wychodzący na czarnym kontynencie w Abidżanie, opublikował następujący list jednego ze swych czytelników.

„Pewna młoda dziewczyna, nazwiskiem Yapy K. Henriette, utrzymywała ze mną normalne stosunki i przyjęła moją propozycję małżeńską. Raptem zaręczyny zerwała. Wychodzi teraz co sobotę z domu z innym przyjacielem, któremu, wiem o tym na pewno, lepiej się powodzi ekonomicznie niż mnie. Ta młoda dziewczyna nie chce teraz w ogóle ze mną rozmawiać i udaje, że mnie nie widzi. Moi dwaj świadkowie obecni przy zaręczynach radzą mi, abym zażądał od dziewczyny zwrotu podarków jakie jej wręczyłem. Odmówiłem, bo stare afrykańskie przysłowie głosi, że wędka powinna brać tylko tę rybę, która pływa na swobodzie. Muszę jednak powiedzieć, że po uchwale Organizacji Narodów Zjednoczonych o równouprawnieniu kobiet wiele dziewcząt straciło swój dobry charakter — wesołość i pogodę. Szukają teraz nie wiadomo czego, rozglądają się za bucikami na wysokim obcasie, choć przeważnie takie buciki zdobywają chytrością i podstępem..."

No, proszę...

Mówią: U kobiety włos długi, rozum krótki. Myślałby kto. Dziś te dłuższe włosy noszą raczej mężczyźni. Ewy szturmują, Ewy są w ataku.

JAN BĄBIŃSKI

Foto: Archiwum

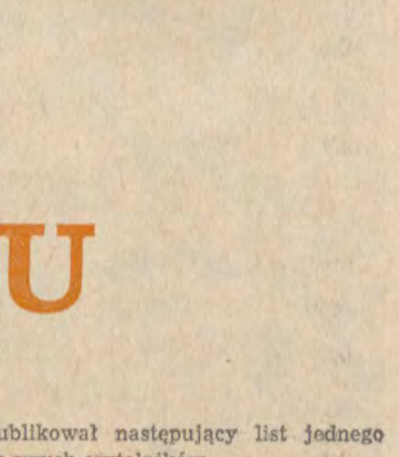

JERZY WILMAŃSKI

SKOK DO SĄSIADA

Do Pragi się nie podróżuje. Do Pragi się wpada. Ekspresem „Silesia" lub „Bohemia". Wieczorem — krótki sen — i rano wita nas „Praha hlavni nadraží". Sobotnio-niedzielny „skok do sąsiada" utrudnia tylko fakt, że do Czechosłowacji jechać można w zasadzie na zaproszenie — nie wystarczy sama wkładka paszportowa.

Ale od czego mamy sprawnie działający „Sports - Tourist" biuro podróży, które zbiera trzydziestu chętnych, daje im przewodnika, rezerwuje hotel, zapewnia wyżywienie i skok do sąsiada może dojść do skutku.

I oto w sobotni poranek jesteśmy na praskim dworcu głównym. Wokoło wykopki, bo Praha się modernizuje, buduje metro i unowocześnia ciągi komunikacyjne. Nie jest to prosta sprawa w mieście, które właściwie nie jest miastem lecz muzeum architektury. Konieczność zachowania zabytkowej struktury sprawia, że rozwiązań szuka się tu pod ziemią. Tak więc za parę lat pod zabytkowym masywem starego dworca, którzy pozostanie nienaruszony, powstanie drugi nowoczesny dworzec. Ruchome schody, podziemne przejścia, poczekalnie, restauracje, przestronne hale — wszystko to dziś wymalowane jest pięknie na planszach zdobiących budowę.

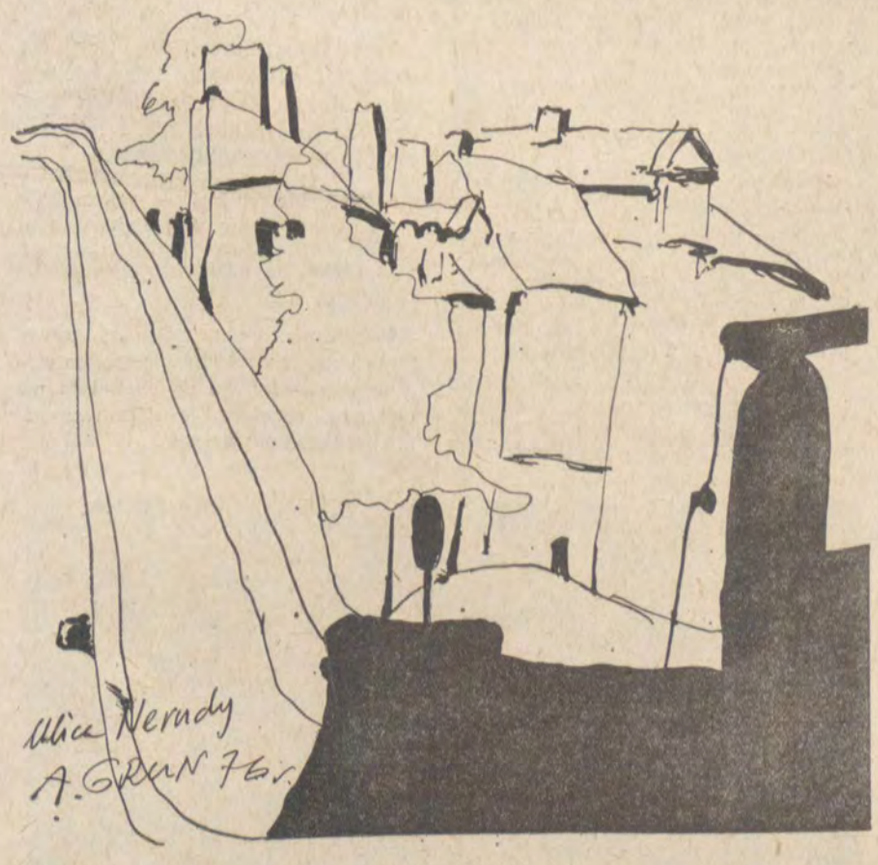

Praha jest w tej wygodnej sytuacji, że zbudowano ją na skale, którą dziś można spokojnie drążyć, bez obawy naruszenia muzem architektury jakie wyrosło na powierzchni. Podobne rozwiązania spotyka się i dalej — już w samym mieście. Na Vaclavskim Namesti przy zbiegu ulic Vodiczkovej i Idrziska już dziś istnieje wielki plac podziemny, z masą kiosków, sklepów, stoisk.. Z tych fragmentów podziemnej zabudowy śródmieścia widać, że budowniczowie metra wykorzystują owe wejście pod ziemię nie tylko dla celów ściśle komunikacyjnych.

I tak pod Prahą zabytkową powstaje śródmieście o nowoczesnej architekturze, rozświetlone smugami jarzeniówek.

A z tym muzeum to wcale nie przesada. Zresztą zarówno historia jak i warunki naturalne sprzyjały zawsze temu miastu. Od początku budowano Prahę z kamienia, bo był to materiał najłatwiej dostępny. Miasto jest więc stare, bo już w X wieku istniały po obu stronach Wełtawy dwa grody — praski i wyszehradzki, potem powstało Stare Miasto, potem Mała Strana...

Ale dopiero za dwa lata Praha obchodzić będzie półwiecze jako stolica, bo przecież państwo Czechów i Słowaków powstało dopiero w wyniku pierwszej wojny światowej. Tak więc ten tysiącletni gród (a raczej miasto, bo grody tu były dwa) jest bardzo młodą stolicą.

O Pradze się mówi, że „złota", że „miasto tysiąca wież". To wszystko prawda, ale jest to po prostu niezwykle piękne miasto. Historia była dlań łaskawa. Głośne praskie powstanie w końcu ostatniej wojny, o którym także i w Polsce widzieliśmy parę filmów, trwało raptem pięć dni. Nie spadły na Prahę bomby i dziś wycieczkom pokazuje się jako osobliwość postrzelane okno piwnicy przy ulicy Ressłowej, gdzie ukryli się i zginęli czescy konspiratorzy, którzy dokonali zamachu na protektora Czech i Moraw Heidricha.

Dzięki tej łaskawości historii patrzymy dziś na romańską katedrę, w której Mieszko I brał chrzest i ślub z Dąbrówką (Dubrawą). Dzięki tej łaskawości historii oglądamy dziś kaplicę Władysława Jagiellończyka w cudownej gotyckiej katedrze na Hradczanach, katedrze, która jest równa klasą paryskiej Notre Dame, co piszę na odpowiedzialność Andrzeja Gruna, bo widział obie.

Ani historia, ani czas, ani wiatr nad Wełtawą nie naruszyły Mostu Karola z XIV wieku i barokowych rzeźb, które go zdobią. Most Karola jest dziś miejscem spacerowym, pojazdy mają tu zakaz wjazdu, ale to tylko ładny gest wobec staruszka, który z pewnością jeszcze wytrzymałby te pare samochodów.

Kiedy byłem tu przed laty Most Karola poddawano gruntownej renowacji. Mówili wówczas konserwatorzy, że łatwiej ruszyć pneumatycznym świdrem sam kamień niż zaprawę, która go łączy. Zaprawa była bowiem mieszaniną wapna, jajek i bydlęcej krwi — substancją tak twardą, że i dziś współczesna technika nie wymyśliła nic lepszego.

Na razie jednak dość historii, choć w tym mieście jest ona tak wszechobecna, że trudno ją przeoczyć. Trudno uciec od tej urzekającej architektury.

Nie dziwi zatem, kiedy na scenie słynnego teatru eksperymentalnego „Laterna Magika" ożywają na ekranie kolorowe obrazy praskiej architektury.

Zaraz — na scenie czy na ekranie? A więc słowo wyjaśnienia dla tych, którzy nigdy w tym teatrze nie byli. Sławę „Latarnia Magiczna" zdobyła już dawno łącząc — bodaj po raz pierwszy w historii teatru — film z żywym planem. Dziś nie jest to już ani nowość ani eksperyment, ale rzecz jest ciekawa i na każdym spektaklu kłębią się wielojęzyczne tłumy. W sezonie turystycznym „Laterna Magika" wystawia program „Miłość w barwach karnawału". Na afiszach czytamy obok czeskiego „Laska v barvach karnevalu" — „Liebe in Farben des Karnewals", „Love in the colours of a carnaval"...

Historia jest prosta — miłość Colombiny i Arlekina, schemat znany na Wschodzie i Zachodzie; w starą ramkę komedii dell'arte, nie wymagającą słów i tłumaczeń, wpleciono balet i filmowe tricki.

Oczywiście spektaklu opowiedzieć się nie da, ale gwoli zachęty ewentualnych amatorów spróbuję. Otóż na scenie znajdują się trzy ekrany — jeden duży pośrodku w głębi — dwa poziome po bokach. Środkiem sceny uciekają Arlekin i Colombina przed goniącym ich Pantalonem. Uciekają aktorzy — goniący jest na ekranie, siedzi na przednim siedzeniu taksówki, jego twarz wypełnia cały ekran. Ale oto na skrzyżowaniu ulicy zapalają się czerwone światła (ten obraz z bocznych ekranów) — taksówka gwałtownie hamuje — Pantalone uderza nosem w szybę i... wypada z ekranu na scenę. Teraz Pantalone biegnie środkiem sceny, a Colombina i Arlekin nagle znikają i w tej samej chwili widzimy już ich uciekających na bocznych ekranach...

Podobnych chwytów jest tu co niemiara — dodajmy do tego olbrzymie lustra, które pojawiają się nagle zamiast ekranów, gdy na scenę wkracza barwny, baletowy korowód, dodajmy znakomite kolorowe efekty trickowe, efekty dźwiękowe...

Słowem — jest to zupełnie inny, niecodzienny teatr. I choć dziś wiele z technicznych nowinek „Laterny Magiki" zdążyło się już upowszechnić w różnego rodzaju rewiach i widowiskach plenerowych — tutaj mamy do czynienia z konsekwentnym, niepowtarzalnym stylem oraz mamy świadomość, że to właśnie stąd — z tej niewielkiej sali przy ulicy Narodni — wzięło się to wszystko, że to właśnie tu narodził się ów genre.

Gorąco namawiam tych, którzy Prahę odwiedzą, do odszukania „Laterny Magiki" i spędzenia wieczoru pełnego niepowtarzalnych wrażeń. A odnaleźć ten teatr nietrudno — od Muzeum Narodowego i pomnika Wacława na Vaclavskim Namesti wystarczy pójść w dół placu (a każdy polski turysta musi się przecież tu znaleźć, bo tu najwięcej sklepów) — kiedy plac się skończy — skręcić w lewo i już niedaleko...

Oczywiście wieczór spędzić można również w którymkolwiek z trzydziestu praskich teatrów. Tak, tak — w Pradze funkcjonuje trzydzieści teatrów — w tym cztery kukiełkowe z najgłośniejszym „Spejbla i Hurvinka" oraz jeden teatr poezji „Viola".

Jeśli ktoś jednak uciechy stołu przedkłada nad uciechy intelektualne, to Praha też go nie zawiedzie. Wydany w trzech językach (rosyjskim, angielskim, niemieckim) przewodnik po najlepszych praskich przybytkach gastronomii liczy bite 170 stron druku. Oczywiście największą popularnością cieszy się piwiarnia „U Kalicha", gdzie popijał pilznera dobry wojak Szwejk. Ze starej, przedmiejskiej gospody dziś jednak niewiele tu zostało. Owszem — wisi na ścianie portret cesarza Franciszka Józefa, a w jadłospisie znajdujemy takie dania jak „sekret Szwejka", „rostbef pani Millerowej" czy „potrawa Paliwca" — ale ta stara wyszehradzka piwiarnia zbyt chyba nachalnie eksploatuje szwejkowsko-haszkowską legendę. Lecz, być w Pradze i nie trafić „do Kalicha"? Mówi się tutaj: „Do Kalicha pójść trzeba" — „Dlaczego?" — „Bo u Kalicha być wypada".

Osobiście jednak polecam „chińską restaurację" przy ulicy Vodiczkovej. Nie szczyci się ona co prawda takim wystrojem wnętrza, ani wielkością, jak warszawski „Pekin", który często w charakterze chińskiego dania serwuje kotlet schabowy z kapustą. Tu nie ma takich numerów.

Lokal skromniejszy i nazwa prostsza, ale za to stale figuruje w jadłospisie 80 typowo chińskich potraw, głównie kuchni kantońskiej i seczuańskiej. Poza mięsem i owocami wszystko inne (a to „inne" w kuchni chińskiej ma znaczenie podstawowe) dostarczane jest bezpośrednio z Chin. Nie uświadczysz tu metalowych sztućców, bowiem podobno chińskie potrawy nie znoszą metalu. Można natomiast popróbować umiejętności posługiwania się pałeczkami.

Z napojów króluje jaśminowa herbata, aperitif z korzenia Żeń-szeń i oczywiście czeskie piwo i rosyjska wódka. A poza tym — cóż. Można z całą pewnością stwierdzić, że chińska restauracja jest na bardzo wysokim poziomie — mówi się także, że i pod względem wysokich cen nie ma ona równej sobie w całej Pradze.

Nawiasem mówiąc są jeszcze w Pradze narodowe restauracje — rosyjska, gruzińska, jugosłowiańska, bułgarska, włoska oraz dwie specjalizujące się w potrawach kuchni słowackiej. Polskiej restauracji w Pradze nie ma — co jest jeszcze jednym smutnym dowodem upadku naszej gastronomii.

Nie będę zresztą czynił tu żadnych porównań praskiego handlu i gastronomii z rodzimymi doświadczeniami, bo byłoby to zajęcie zbyt jałowe i zbyt irytujące.

Czas jednak kończyć parodniowy „skok do sąsiada". Pół godziny drogi na nowe lotnisko — z daleka już widać za budynkiem portu lśniący bielą TU-134 Polskich Linii Lotniczych.

Amatorów piwa czeka pierwsza w Pradze kolejka — do kiosku, gdzie w eleganckich kartonowych torbach kupić można kolekcję „Pilznera". Większość turystów wstępuje na pokład samolotu z bombami. Są to jednak bomby piwa i wykrywacz metali nie sygnalizuje niebezpieczeństwa.

Lot do Warszawy trwa 45 minut. Przejazd z Okęcia na Dworzec Centralny — pół godziny. Osobowym do Łodzi — 180 minut. Koniec „skoku". Jesteśmy na ziemi.

RYSOWAŁ: ANDRZEJ GRUN

Stare Miasto

PLASTYKA

W PEŁNYM SŁOŃCU

Nie tak dawno jeszcze trwała w środowisku plastycznym ożywiona dyskusja nad statusem zawodowym i artystycznym plastyka — projektanta związanego z przemysłem. Istniejącemu w ZPAP podziałowi na sekcje zarzucano pewną dyskryminację „użytkowców" na korzyść innych dyscyplin z kręgu sztuki czystej. W trosce o podniesienie poziomu wzornictwa przemysłowego układano programy odnowy, padały apele o stworzenie warunków permanentnego dokształcania projektantów, pielęgnowania unikalnych specjalizacji. W którymś momencie dyskutantom zabrakło argumentów i wszystko zostało po staremu, choć — siłą rzeczy — to czy owo zmieniono na lepsze. Projektantów przemysłowych pakuje się nadal już to do worka twórczej elity (gdzie muszą wylegitymować się osiągnięciami na polu którejś z tradycyjnych dyscyplin), kiedy indziej — pomiędzy szarą brać techniczną w przysłowiowych zarękawkach. Z całą pewnością to rozdwojenie nie wychodzi na dobre samym zainteresowanym — co stwierdzić mogą po raz któryś z kolei widzowie poplenerowej wystawy (już 13-tej) plastyków zatrudnianych przez przemysł lekki.

Pozornie wszystko jest jak trzeba: mecenas (branżowe zjednoczenia) ufundował projektantom wakacyjny meeting, na którym życie płynęło wartko i przyjemnie, bo wśród swoich. Podsumowaniem pleneru jest wystawa, która ma przekonać mecenasa, że nie tylko w sferze kontaktów międzyludzkich i twórczej integracji uczestnicy poczynili wyraźne postępy. Tzw. opieka ze strony przemysłu nad twórcami została w ten sposób załatwiona a projektanci — opaleni — mogą z ochotą przystąpić do swych codziennych, nieefektownych zajęć.

Tymczasem łódzka wystawa sprawia wrażenie, jak gdyby złośliwie żądano od projektantów — specjalistów branży odzieżowej czy tkanin, dowodu że nie zapomnieli jeszcze czego uczono ich na pierwszych latach plastycznych uczelni. Być może stawiam tu krzywdzącą i błędną diagnozę, ale nie potrafię w inny sposób zrozumieć skąd na wystawie tyle przeciętnego, tradycyjnego malarstwa i grafiki; skąd owo niewinne z pozoru udawanie że jest się tym, kim w rzeczywistości być nie powinno. Poprawne pejzażyki z Kazimierza i innych zakątków kojarzą się nieodparcie — proszę o wybaczenie — z pieczątką niezbędną dla potwierdzenia służbowej delegacji, jakimś „byliśmy, widzieliśmy...". Usiłuję spojrzeć prosto w oczy fatum, które zmusiło projektantów spod skrzydeł przemysłu lekkiego, by puścili się na szerokie wody tradycyjnie pojętej sztuki — i przyznamy — mocno zamoczyli pióra. Przecież nie tego chyba oczekuje się od cenionych specjalistów całkiem innej branży. Marzą mi się rozwieszone przez nich na ścianach galerii wspaniałe projekty tkanin, eksperymentalnych dywanów i ubiorów, których np. ze względu na różne technologiczne reżimy nie sposób zrealizować, jakieś wymyślne „fantazje" tekstylne, wizjonersko — odkrywcze, zapładniające wyobraźnię potencjalnego klienta, jak literatura science — fiction. Reasumując: wątpię, by musieli „użytkowcy" kogokolwiek przekonywać, że potrafią malować jak inni, bo przecież potrafią. Nie jest tylko dobrze, kiedy chcą udowodnić, że są równie dobrymi malarzami co projektantami — bo to (na zdrowy rozsądek) wobec postępującej specjalizacji nikomu się udać nie może, a tylko zmusza do zapytania, czy aby swej podstawowej roboty nie ważą zbyt lekko. Chyba że... potraktujemy problem, co i jak się komu podoba malować na plenerze, jako prawę całkiem prywatną, samo malarstwo jako leniwie wakacyjną przygodę w pełnym słońcu, a całą wystawę — w kategoriach swobodnej umowności.

Winien jestem oddać sprawiedliwość artystom, których prace budzą większe zainteresowanie. Są to przede wszystkim „metaforycy": Stanisława Pietrzak-Krupińska, autorka nastrojowych obrazów protestujących przeciw zagrożeniu przyrody, Eugeniusz Kiszczak i Paweł Trybalski — malujący nadrealne, poetyckie pejzaże. Ciekawie pozuje swe malarstwo na naiwne Dymitr Kreliszyn. Jak zwykle nie zawiodły Halina Ładanowska, Helena Tchórzewska i Maria Wawrzonek. Zdobywczyni I nagrody konkursowej pleneru — Anna Mizeracka prezentuje spójny, konsekwentnie stylizowany zestaw grafik; może zbyt silnie inspirowany twórczością Kondka. Zaufanie budzi malarstwo Jolanty Pachuckiej-Wagner. Zofii Szuster czy Jerzego Kwiatkowskiego. Urzeka niezwykle delikatny, bardzo „kobiecy" pejzaż Alicji Tymanowskiej. I... tyle tylko rzeczy ambitniejszych, choć wystawa wcale obfita.

ANDRZEJ MAJER

LATO—76

ZBIGNIEW S. NOWAK

WACEK ŁAP RAKIETĘ...

Kolorowa tablica z daleka wabi czerwienią:

„LUNAPARK ZAPRASZA. 300 m".

Idziemy. Jeszcze tylko po drodze lody włoskie — raz i trzy „pif-paf" w strzelnicy obok. Można by i więcej, lecz akurat na pobliskim przystanku rakietowym zatrzymuje się dwuczłonowy wehikuł gwiezdny „Luna". Szybka wymiana pasażerów w tempie iście kosmicznym. Czas — to pieniądz.

Foto: W. Paryś

— Tata, pojadę, co?

— Musowo — pan Karolek z dumą patrzy na syna, że niby taki chojrak, chociaż ledwie wyrośnięty. Krótka szamotanina z kieszenią, gdzie bilon, psia jego mać, zaplątał się w kraciastą chusteczkę-smarkatkę i nijak nie daje się wysupłać. Synek się niecierpliwi, spoglądając to na tatę, to na dającą sygnały rakietę: pan Karolek warczy i walczy, ale jakoś mało skutecznie. Kosmiczny pojazd rusza. Pan Karolek krzyczy pełen rozpaczy:

— Wacek, łap rakietę...!

Koleś rusza w pogoń, jednak „Luna" to nie pociąg PKP, nie dogonisz.

— Poszła, cholera... — pan Wacuś staje zasapany.

Mały w bek. Taka frajda umknęła mu sprzed nosa.

Nie płacz, pojadziesz drugą razą — pociesza chłopaczka koleś pana Karolka.

Nie ma co, trza iść dalej. Ruszają. Hej, ta droga! Trzysta metrów. Z lewej zastrachane osiki, z prawej modrzew królewski i dumny, choć korniki cięgiem tę jego godność nadwerężają. Asfalt mięknie pod słońcem, więc lepiej szurać poboczem. Pod stopami wybuchają kłębki pyłu. Modrzewie ustępują sosnom, zapach taki borowy, potem siwy brzeziniak. Na poprzek mętna woda, nad nią kamienny mostek, z prawej nieco wyschnięty zalew — **Ośrodek Wypoczynkowy KS „Tramwajarz".** Hyc przez groblę i zakręt na prawo. Naokoło zielony mieszaniec, zagajnik taki nowoczesny. Za nim wykop żółtogliniasty — zabłąkana w lesie kanalizacja, też w poprzek. Skok przez przeszkodę i już brama raju. Na niej kawałek pilśniówki w kolorze czterojajecznym, smoliste bukwy:

„LUNAPARK — GODZINY 14—21, W NIEDZIELĘ 10—21".

Wchodzimy.

Na prawo kiosk „Ruchu", prasy niet, papierosy powyżej „dychy". Rejsujemy więc w bok — lewą marsz! Nagle syrena! Stajemy w miejscu. Pali się, czy co? Jednak nie; po bliższych oględzinach stodolasta szopa okazuje się imprezą **„Skooter"**. Elektryczne samochodziki skrzą antenami po zawieszonej u stropu siatce, szurgają po arenie, czasami bum, bum, karambol albo trzy od razu. Wrzask dzieciarni, pisk panien nadobnych, ha, ha kawalerów; trafiają się i dojrzalsi amatorzy rajdu na dechach, balzakowianki fertyczne, łysiny nobliwe. Cóż, to zabawa dla wszystkich. A może by też?

Żeton za „kopernika", siad za kółko i hajda w tłum. Para nieletnich goni mnie z indiańskim okrzykiem, robię kristianię tak chytrze, że o mało nie taranuję zaaferowanego pana Karolka z kompanią, szus w lewo, przed maską nagły błysk okularów, szarpię kierownicę, nareszcie przy bandzie, trochę luzu, ale gdzie tam, rozkoszniutka „piętnastka" wali mnie w bok karoserii, podryw taki, czy jak, masuję kolano. Znów zakręt w lewo, tam zielony, z prawej niebieski, trafiam żółtego, odskok, „zasaduję" bokiem, ale dopadli mnie w kącie. Znowu pan Karolek i reszta, mały pieje z zachwytu, półobrót, szus, zajstep i cross na skos, umykam gangsterom-małolatom z kapiszonowcami, trach, trach, trach, z deszczu pod rynnę. „Piękna" przy kości wbija mnie w narożnik.

— Przepraszam. Myślałam, że to mój.

— Jaki twój, cholera! Skok do przodu. Nareszcie trochę bezpieczniej. Jeszcze „ósemka". Syrena. Ufff!

Wysiadam na miękkich nogach, fajnie było. Pod stopami swojska matka-ziemia, przede mną latające talerze i parasole, ale na razie mam dosyć.

Pod płotem „Monte Carlo" dla dzieciaków. Obwód zamknięty, tor po linii nerki. Przodem gna strażacki samochód-widmo bez załogi, oczywiście ściga go biały „Police", dalej land-rover, łaciata chevroleta, znów policja, strażacki z drabiną i „terenówka". Fajne toto, ale cokolwiek przymałe, idę, więc gdzie indziej.

Wieolbarwna wieżyczka, naokoło piruetem owija się wyfroterowana rynna. Zjeżdżalnia wycieraczkowa! Małpuszę mu „klejentów". Czmycham więc w bok.

— Panie, a to się nie urwie? — indaguje naraz jakiś dociekliwy staruszek.

— A bo ja wiem! Patent ma, że nie, to o co się rozchodzi?

— Nic, ja tylko tak — odpowiada dziadzio.

Uciekam, byle gdzie. Wpadam na mały płotek i staję osłupiały. Przedziwny mariaż Holandii i Dzikiego Zachodu! Wiatrak pod tytułem **„Texas"**, wkoło niego pędzi wąskotorowy **„souther Pacific"** z ogromnym kominem. W roli pasażerów milusińcy oczywiście. Obok, też dla nich, maleńkie samochodziki akumulatorowe. Rejwach straszny. Dzieciarnia pohukiwaniem dodaje sobie animuszu, rodziciele dopingują gromko. Megafon wyje „Yellow Window". Dosyć! Trzeba wiać.

Okrążam „diabelski młyn", gorączkowo szukam schronienia. Trafiam na „imprezę" z rzucaniem kółkami do fantów. Na środku stołu-rzutni królują owocowe „Karaty". Nie na tę pogodę.

Idę dalej. „Saloon". Maszyny zręcznościowe oraz inne błyskotliwe gry. Można odpocząć trochę i zabawić się niewinnie. W kosmonautę, lotnika, „po zielonej trawie piłka goni" i co kto chce. Zabawiam się więc, o co chodzi? Po godzinie skończyły mi się drobne. Wybywam.

Zmierzcha już, pobłyskują lampiony, neony, argony i inne kolorowe świecidła — cała tęcza, albo pięć. Kołowrotek w oczach.

Zaglądam do strzelnicy, nawet bym sobie palnął, ale gdzie tam, zawrót głowy, lufa krąży po ścianach, przerażony „obsługant" robi gwałtowny unik, szkoda gadać, jeszcze bym podpadł za nielegalny ubój personelu. Personel wyrywa mi „stucer".

— Panie, to nie dla pijanych! Won!

Tłumaczę, że to nie to, tylko ta cholerna kolejka górska, błyskotki w „Saloonie", no i te neony, zmiany światłocienia itd.

— **Fakt** — przyznaje „obsługant" — **może być. Ale to trza poczekać, aż przejdzie, a nie tak od razu za odstrzał.**

Macham tylko ręką. Nie mam siły czekać. Żegnajcie neony, nie dla mnie sznur samochodów marki „Skooter", kolejki, parasole podniebne, latające talerze i inne diabelskie sztuczki. Na dzisiaj wystarczy...

Przemykam bramą w fioletową ciemność, witaj ciszo leśna, dumny niepokoju! Za mną tupot białych mew, oglądam się chyłkiem, nie, to nie mewy, pan Karolek holuje resztę.

— Hej, idę w las! — wykrzykuje mały przedszkolną zaśpiewkę.

— Cicho, bo jelenie śpią — strofuje go tata.

Faktycznie, na przydrożnej trawie kima jeden, nawet chrapie. Chyba wysokoprocentowy, bo na chmiel to nie wygląda, chociaż KS „Tramwajarz" blisko. Niech mu ziemia...

— Idziemy, Wacuś! — rzuca krótko kolesiowi. **— Coś tu nie tak.**

„Obsługant" kłuje mnie jadowitym spojrzeniem. Nic dziwnego, ani chybi

Foto: W. Paryś

U PRZYJACIÓŁ

★ ☆ ★

Przed 140 laty w urokliwym uzdrowisku czeskim — Mariańskich Łaźniach przez cały sierpień przebywał Chopin, spotykając się codziennie z Marią Wodzińską. Dlatego właśnie Mariańskie Łaźnie stały się siedzibą Czechosłowackiego Towarzystwa imienia Fryderyka Chopina, a w zajeździe „Pod białym łabędziem", gdzie kompozytor zatrzymywał się, utworzono piękne Muzeum jego imienia.

Towarzystwo, istniejące blisko 20 lat, już po raz siedemnasty zorganizowało Festiwal Chopinowski, jak zawsze z udziałem polskiej pianistyki. XVII Festiwal trwał od 14 do 21 sierpnia i przyniósł trzy koncerty symfoniczne, cykl recitali oraz interesujące imprezy towarzyszące.

W programie koncertu inauguracyjnego, z udziałem Zachodnioczeskiej Orkiestry Symfonicznej pod dyrekcją Miroslava Bervida, utwory Chopina wykonał znany również w Polsce młody pianista Ivan Klansky. Pozostałe dwa koncerty prowadził dyrektor Filharmonii Lubelskiej — Adam Natanek, a jako soliści wystąpili m. in. Dina Joffe i Jerzy Sulikowski z Gdańska. Spośród innych pianistów ze szczególnie gorącym przyjęciem publiczności spotkali się laureat I nagrody czechosłowackiego konkursu na najlepszego młodego chopinistę — Peter Slavik oraz wyróżniony na ostatnim Konkursie Chopinowskim w Warszawie — Dan Atanasiu z Rumunii.

Z imprez towarzyszących do najciekawszych należały projekcje polskich i francuskich filmów o tematyce chopinowskiej oraz wieczór pn. „Chopin i Liszt", w czasie którego prof. dr Vaclav Holzknecht z Pragi podał wiele nie znanych dotąd faktów świadczących o przyjaźni obu wielkich artystów.

Hasło festiwalu: „Muzyka zbliża narody" znalazło pełny wyraz we wręczeniu prof. Frantiskowi Rauchowi, prezesowi Czechosłowackiego Towarzystwa im. F. Chopina, dyplomu członka honorowego Tow. im. Chopina w Warszawie.

★ ☆ ★

Trwają zdjęcia do serialu telewizyjnego „Droga przez mękę". Jak stwierdził reżyser filmu W. Ordyński, w wywiadzie dla „Literaturnoj Gaziety", prace nad ekranizacją powieści Aleksego Tołstoja rozpoczęto przed pięcioma laty. Serial będzie gotowy na 60 rocznicę władzy radzieckiej, czyli — zdjęcia, montaż i udźwiękowienie filmu zajęło ekipie realizacyjnej tyle czasu ile trwa akcja utworu rozgrywającego się w latach 1914—20.

Utwór Tołstoja przeniósł już swego czasu na ekran Griorij Reszel w formie 3-seryjnego filmu. Obecnie powstaje 13 odcinków, a każdy z nich będzie odpowiadał długości normalnego filmu. Całość projekcji będzie trwać 20 godzin, a w filmie wystąpi ok. 500 aktorów. „Nasz scenariusz — stwierdza reżyser — nie powiela powieści Aleksego Tołstoja, nie naśladuje jej układu, chronologii. Ponadto pewne epizody powtarzają się dwukrotnie, przy czym nie są to mechaniczne powtórzenia, lecz nowe sceny pokazujące wydarzenia z punktu widzenia innych jego uczestników".

★ ☆ ★

Radziecka radiofonia i telewizja należą nie tylko do największych na świecie pod względem liczby nadawanych programów i ich zasięgu, lecz także międzynarodowych kontaktów. Ich partnerami są organizacje radiowe i telewizyjne 110 krajów z całego świata.

★ ☆ ★

Według danych UNESCO Związek Radziecki zajmuje pierwsze miejsce w świecie w zakresie edycji literatury przekładowej. Co roku ukazuje się tu ponad 80 tysięcy tytułów książek w ogólnym nakładzie półtora miliarda egzemplarzy. Są one wydawane w 89 językach narodów Kraju Rad i przeszło 50 — zagranicznych. ZSRR posiada ponad 360 tys. bibliotek, których łączny księgozbiór szacuje się na 3.300 milionów woluminów.

Łącznie — od 1917 r. w Związku Radzieckim wydano przeszło 2,7 miliona tytułów książek i broszur o łącznym nakładzie ponad 43 miliardów egzemplarzy. Tak więc codziennie radzieccy czytelnicy otrzymują przeszło 4 miliony publikacji, pochodzące z ponad 200 oficyn wydawniczych.

SKANDAL W SCOTLAND YARDZIE

W osnutej legendami cytadeli brytyjskiej policji — Scotland Yardzie — wybuchł głośny skandal, a wywołał go niejaki Iimmy Hampfrys, facet odsiadujący ośmioletni wyrok za usiłowanie zabójstwa.

Hampfrys jest jednym ze zdetronizowanych bossów tej części londyńskiego podziemia, w której działają tajne organizacje handlarzy narkotykami, żywym towarem, literaturą pornograficzną.

Iimmy Hampfrys złożył oświadczenie, z którego wynika, że, mniej więcej, od 1960 roku wielu wpływowych pracowników Scotland Yardu pozostawało w mniej lub bardziej zażyłych stosunkach z wodzirejami brytyjskiego świata podziemnego. W zamian za poparcie, pobłażliwość i faktyczną współpracę funkcjonariusze policji otrzymywali od przestępców pieniądze i prezenty. Były to drogie podarunki w formie rozrywkowych wycieczek za granicę z pobytem w najlepszych hotelach, czy też intymnych spotkań ze śpiewaczkami z kabaretów i „gwiazdami" stripteasu.

Na podstawie zeznań Hampfrysa 12 pracowników Scotland Yardu zasiadło na ławie oskarżonych. Cała pikanteria tego wydarzenia polega na tym, iż chodzi tu o kierowników wydziałów i służb powołanych do prowadzenia walki z tymi właśnie rodzajami działalności przestępczej, w które sami są zamieszani. Nikt w policji nie cieszył się takimi wpływami i autorytetem jak właśnie ci ludzie. Kenneth Drury, Volly Virgo, William Muny i inni odgrywali niemałą rolę w działalności Scotland Yardu.

Major Kenneth Drury, były naczelnik specjalnego „lotnego" wydziału, w ciągu 26 lat służby otrzymał 23 oficjalne pochwały, i nagrody. Jego zwyczaj osobistego udziału we wszystkich operacjach związanych z ryzykiem zjednał mu opinię jednego z naodważniejszych pracowników angielskiej policji. Wydawało się, iż cała jego postać była wzorem doskonałego „człowieka ze Scotland Yardu", jakiego pokazują angielskie filmy. Volly Virgo, były naczelnik wydziału kryminalnego, a następnie wydziału do walki z przestępstwami szczególnie niebezpiecznymi, był pracownikiem na którym spoczywał obowiązek utrzymywania kontaktów z amerykańskim FBI i Interpolem. Virgo miał na swym koncie 25 pochwał władz zwierzchnich i nawet został wyróżniony „Królewskim medalem za służbę w policji" — odznaczeniem, które nadaje się tylko wybitnie zasłużonym policjantom. William Muny, były naczelnik wydziału do walki z wydawnictwami pornograficznymi, też był wielokrotnie wyróżniany. Jak na ironię, kilka lat temu uczestniczył w pracach komisji badającej wypadki korupcji wśród pracowników Scotland Yardu. Konkretne oskarżenie zarzuca tym ludziom wielokrotne przyjmowanie od Iimmy Hampfrysa sum pieniężnych i innych podarunków.

Do Hampfrysa należała cała sieć lokali ze stripteasem, a także dużych magazynów i małych sklepików specjalizujących się w zbycie filmów i wydawnictw pornograficznych. Pracowała dla niego rozgałęziona organizacja przemytników, która dostarczała mu z Danii, Szwecji i Holandii „atrakcyjny towar", zaspokajający wszelki smak i każde zapotrzebowanie. Hampfrys poczynał sobie z zuchwałą pewnością siebie, typową dla dobrze prosperującego bossa mafii. Wiele osób podejrzewało, iż musi mieć silną protekcję, ale nikomu nie udało się natrafić na konkretne poszlaki ani tym bardziej wykryć jego wysoko postawionych protektorów.

Imperium Hapmfrysa zachwiało się po raz pierwszy kiedy jeden z nadkomisarzy Scotland Yardu, Alber Vickstead, zwany „szarym lisem", wypowiedział mu bezlitosną wojnę i rzeczywiście zaczął wprowadzać swój zamysł w czyn. Policja przeprowadzała nieustanne naloty na lokale Hampfrysa, konfiskując całe tony zakazanych wydawnictw i paraliżując „normalne dostawy" szmuglowanego towaru. Hampfrys usiłował „sprzątnąć" Vicksteada i tu potknął się fatalnie; musiał uciekać z Anglii i ukrył się w Holandii.

Tymczasem jego policyjni protektorzy porzucili go, po części dlatego, iż w niekończącej się wewnętrznej walce i współzawodnictwie różnych służb Scotland Yardu znaleźli się w przeciwstawnych obozach. Nie poruszyli też palcem, kiedy aresztowanego Hampfrysa sprowadzono do Anglii. Właśnie wtedy, opuszczony i „zdradzony", postanowił się zemścić na swoich byłych protektorach. Opowiedział więc nie tylko o swoich przyjacielskich stosunkach z niektórymi naczelnikami Scotland Yardu, lecz także przedstawił dowody, iż major Kenneth Drury, wraz z żoną, spędził na jego rachunek urlop na Cyprze. Co więcej przedłożył „listy płacy", na których figurowały nazwiska Virgo, Muny i wielu innych...

Skandal z powodu tej sprawy wzbudził duże zaniepokojenie brytyjskiej opinii publicznej, tym bardziej, iż kilka lat wcześniej szereg podobnych afer mocno nadszarpnęło mit o nieskazitelnej uczciwości brytyjskiej policji.

W ciągu ostatnich czterech lat 400 policjantów Scotland Yardu, różnych stopni i piastujących różne stanowiska, musiało odejść z pracy wskutek poważnych podejrzeń o powiązania z podziemiem. Ostatnio — pisze korespondent „Europeo" — aż 46 pracowników Scotland Yardu usunięto ze stanowisk, przeciwko 10 toczy się śledztwo, a 12 oskarżonych o współdziałanie z Hampfrysem zasiadło na ławie oskarżonych.

JERZY CZECH

SKĄPY MILIARDER Z OKLAHOMY

Miliardera „który nie uśmiechał się nigdy" nie ma już wśród żyjących. Paul Getty, uważany za jednego z najbogatszych ludzi świata, zmarł na atak serca. Mając 83 lata wciąż jeszcze mocno stał na nogach i powtarzał, iż przestanie pracować dopiero wtedy, gdy „nakryją go sześciostopową warstwą ziemi".

Był bajecznie bogaty, a przecież niesłychanie skąpy. Pewnemu dziennikarzowi, który nagabywał go natrętnie czy jego majątek jest rzeczywiście wart miliard dolarów, Getty rzucił gniewnie: „Jeśli może pan przeliczyć wszystkie swoje pieniądze to znaczy, że nie ma pan miliarda. Ja osobiście nie wiem ile ich mam". Frazes, który ani trochę nie odpowiadał rzeczywistości. Każdy wydatek, nawet najbardziej konieczny, wzbudzał w nim gwałtowny sprzeciw i rozdrażnienie.

Getty nie wstydził się swego skąpstwa, wprost przeciwnie — przy lada okazji lubił się nim popisać: „W moich fabrykach na Bliskim Wschodzie musiałem zainstalować umywalki dla robotników. I oto podliczywszy wszystkie związane z tym wydatki stwierdziłem, iż każde mycie rąk robotnika kosztuje mnie 28 centów. Oczywiście wszystko to biorę pod uwagę przy określaniu wymiaru wynagrodzenia"...

W swojej wspaniałej rezydencji kazał zainstalować automaty telefoniczne przeznaczone dla... gości. „Tak będzie lepiej dla nich samych — wyjaśnił miliarder. — To uwalnia ich od uczucia zakłopotania, od chęci zwrócenia mi należności za rozmowy telefoniczne". Zdarzało się, iż nie żałował czasu i wysiłku, żeby stać w długiej kolejce po ulgowy bilet wstępu na wystawę malarstwa.

Ale kiedy Getty decydował się już na wydatek, to starał się olśnić otoczenie niezwykłym przepychem. O przyjęciu, które urządził pod Londynem, w swoim zamku Seatton Place 15 lat temu, nie zapomniano po dziś dzień: 1 200 zaproszonych gości, cztery orkiestry grające przez całą noc, wspaniałe ognie sztuczne, kilka barów wyłącznie z szampanem.

Średniowieczna siedziba Seatton Place, gdzie mieszkał Paul Getty w swoich 72 pokojach, oprócz przeszłości historycznej słynęła jeszcze i z innych osobliwości. Wzdłuż trzykilometrowej drogi, wiodącej od wrót głównego wejścia aż do samego zamku, odwiedzających witały liczne tablice z napisami o przeróżnych zakazach. Dwa posterunki dokonywały kontroli przyjeżdżających, patrole specjalnej straży z psami dzień i noc penetrowały cały teren posiadłości, utrzymując łączność radiową między sobą oraz z dowódcą straży. Rezydencja przypominająca skrzyżowanie Wersalu z amerykańskim skarbcem na złoto...

To „Wunderkind finansów" urodziło się w Minneapolis, w rodzinie adwokata, który uznawał za regułę branie działek ziemskich w Oklahomie zamiast honorariów pieniężnych. Działki te okazały się tak zasobne w naftę, że adwokat zostawił swemu synowi w spadku 15 milionów dolarów. Tymczasem i syn nie zasypiał gruszek w popiele — też natrafił na własną naftową „złotą żyłę" i uroczyście świętował swój pierwszy „samodzielny" milion.

Dużą część swego majątku zbił Paul Getty na ekonomicznym kryzysie lat 30-tych, skupując, dosłownie całymi paczkami, akcje zrujnowanych kompanii naftowych. Właśnie w tym czasie udało mu się przejąć w ręce kontrolę nad kilkoma potężnymi firmami naftowymi.

Mimo całe jego „czarne złoto", Paul Getty nie wchodził do nader wąskiego kręgu amerykańskich „czcigodnych milionerów", którzy uważali go za „oklahomskiego plebejusza". Pragnąc dostać się do tego ekskluzywnego klubu milionerów, Getty postanowił zainwestować kapitały na Bliskim Wschodzie, rzucając wyzwanie takim naftowym gigantom jak: „Exxon", „Mobil Oil", „Shell Oil" i innym, które podzieliły między sobą niemal cały międzynarodowy rynek naftowy. Jego wybór padł na maleńki skrawek pustyni, wciśnięty między Kuwejt a Arabię Saudyjską. Człowiek, którego uważano za największego skąpca na świecie, poszedł nagle na ogromne „ofiary". Wielkie kampanie naftowe wydobywały tutaj naftę, płacąc królowi Arabii Saudyjskiej z tytułu dzierżawy jakieś żałosne sumki plus 21 centów za jedną baryłkę wydobytej nafty. Getty wyraził zgodę — żeby zjednać sobie pogrążonego w długach króla — na wypłacenie mu z miejsca tytułem zaliczki 10 i pół miliona dolarów i później — po 55 centów za baryłkę wydobytej nafty. Po upływie roku wykryto na tym kawałku pustyni gigantyczne złoża „czarnego złota", oceniane na 13 miliardów baryłek...

(JC)

■ REJONY NIEPOKOJU
■ CZY ODEJŚCIE DO HISTORII?
■ „DOBOROWI" KANDYDACI

LIBAN nie schodzi z łamów prasy. Niestety, najczęściej są to doniesienia o walkach, które toczą się na kilku frontach, wyniszczając kraj. Rzadziej natomiast agencje informują o projektach pokojowego rozwiązania kryzysu, czy też o dotrzymywaniu chociażby przez kilkanaście godzin warunków rozejmowych. Tym bardziej dlatego trzeba odnotować **plan Ligi Arabskiej przywrócenia pokoju,** ogłoszony pod koniec minionego tygodnia. Przewiduje on zawieszenie broni na całym terytorium kraju, wycofanie wszystkich wojsk do miejsc skąd przybyły, wprowadzenie w życie porozumień palestyńsko-arabskich oraz częściowe wycofanie wojsk syryjskich.

Czy projekt ten stanie się podstawą do uregulowania bardzo konfliktowej sytuacji? Nie przesądzając odpowiedzi — podkreślmy, **że czas już najwyższy, aby położyć kres wojnie.** Niesie ona także masowe rozprawianie się prawicy z patriotycznymi siłami Libanu i palestyńskim ruchem oporu.

Kryzys libański ma szerokie następstwa w świecie arabskim i **jeszcze bardziej komplikuje sytuację na Bliskim Wschodzie.** Wyjście z impasu politycznego i militarnego, jaki ma miejsce w Libanie, leży w interesie nie tylko wszystkich narodów tego rejonu, lecz także światowego pokoju.

Innym rejonem niepokoju jest wciąż **CYPR.** Następstwa antyrządowego puczu sprzed dwóch lat dają nieustannie o sobie znać. Nadzieje na osiągnięcie porozumienia między grecką i turecką ludnością wyspy są tak niewielkie, że nawet prezydent Makarios nie liczy się z rychłą możliwością wznowienia rokowań.

Tymczasem **pierwsza niedziela września przyniesie na Cyprze wybory parlamentarne.** Ostatnie dni przed tym terminem wypełnione są nasiloną kampanią. Miejscowa prawica atakuje przede wszystkim Postępową Partię Ludu Pracującego Cypru, której program nawołuje do jedności narodowej, niepodległości i suwerenności wyspy. Ale nie oszczędza się w tych atakach również Makariosa.

Podobnie, jak w przypadku Libanu, również wydarzenia na Cyprze nie mają tylko wewnętrznego charakteru. Zwłaszcza antagonizują Grecję i Turcję.

Rozpoczęliśmy przegląd wydarzeń tygodnia od omówienia sytuacji w tych dwóch krajach, aby na ich przykładzie wykazać, że **siły upatrujące dla siebie szans w jątrzeniu i wywoływaniu napięć bynajmniej nie ustąpiły** i ciągle mają nadzieje na zakłócenie rozwijającego się procesu odprężeniowego.

A teraz zmieńmy temat i skomentujmy powołanie nowego premiera we **FRANCJI.** Jak wiadomo, dotychczasowy szef gabinetu Chirac złożył dymisję i ustąpi miejsca Raymondowi Barre. Nie byłoby w tym może nic szczególnego, gdyby nie fakt, iż **Barre jest pierwszym od osiemnastu lat premierem, który nie należy do partii gaullistowskiej.** Zdaniem niektórych kół politycznych jest to równoznaczne z końcem V Republiki, stworzonej przez gen. de Gaulle'a i zapoczątkowaniem „giscardowskiej" VI Republiki.

Bezpośrednią przyczyną ustąpienia Chiraca było, w myśl jego oświadczenia, odmówienie mu przez prezydenta szerszych uprawnień, które chciał wykorzystać do pokonania pogłębiającego się kryzysu społeczno-finansowego. Natomiast prezydent Giscard d'Estaing przedstawiając Barre'a zapewnił, że skoncentruje się on na walce z inflacją, zapewnieniu Francuzom warunków bezpieczeństwa i kontynuowania polityki reform. „Nowy premier — dodał — będzie jasno i regularnie wyjaśniać politykę francuską, czego nie robiono dotychczas w odpowiednim stopniu".

W Paryżu nie brak opinii, że **Giscard d'Estaing pozwalając odejść gaulliście i kierując na jego miejsce bezpartyjnego podjął duże wyzwanie polityczne,** które może nawet doprowadzić do rozwiązania parlamentu. Trzeba bowiem pamiętać, że gaulliści dysponują największą liczbą głosów w ramach parlamentarnej większości prezydenckiej.

W skład nowego gabinetu francuskiego weszło, tak jak poprzednio, pięciu ministrów z ramienia partii gaullistowskiej UDR, jednakże łącznie jej reprezentacja w rządzie zmalała z 13 osób do 9. To dało potwierdzenie niektórym tytułom prasy francuskiej, że „gaullizm, chociaż jeszcze nie gaullistów, można odłożyć do muzeum historii" (Le Monde), a „przyszłość polityczna i instytucjonalna Francji w drugim etapie mandatu prezydenta będzie inna" (Le Quotidien de Paris").

Na zakończenie jeszcze nieco o kampanii przedwyborczej w **RFN.** O tym, że wchodzi ona w końcową fazę świadczy pierwsza telewizyjna dyskusja przewodniczących głównych partii. Jej przebieg **potwierdza różnice, jakie występują między partiami koalicji i opozycji** zarówno co do polityki wewnętrznej, jak zagranicznej. Chadecy np. zakwestionowali pozytywną ocenę następstw polityki odprężenia i zapowiedzieli, że ich kandydatem na ministra spraw zagranicznych będzie Karl Carstens, który reprezentuje prawicowe skrzydło CDU. Na stanowisko ministra finansów natomiast reflektuje sam Strauss. Dosadnie to charakteryzuje zamierzenia opozycji w przypadku zwycięstwa wyborczego.

W. SŁAWSKI

TELEWIZJA

NIECH ZOSTANIE W RODZINIE

Narzekanie na program telewizyjny stało się niemal obowiązkiem wszystkich piszących o telewizji. Zajęcie to jest jałowe, bowiem telewizja ma — nie wiadomo czemu — monopol na absolutną rację, prawo rozdzielania cenzurek i wyłączne prawo samooceny. A poza tym na krytyczne uwagi telewizja reaguje najczęściej (jeśli reaguje w ogóle) irytacją.

Ale cóż robić kiedy nie wszystko jest w tym królestwie w porządku. *Np.* **kompozycja programu.**

Posłużę się przykładem z dnia 1 sierpnia. Oto co mamy. W programie pierwszym o godz. 16.10 — „Teatr Muzyczny — Mozart". W programie drugim o godz. 17.25, a więc mniej więcej w tym samym czasie — koncert „Spotkanie z Mozartem". Nasuwa się pytanie: „czy układający program nie myślą?" A może brak koordynacji między programem pierwszym i drugim. W brak koordynacji trudno uwierzyć, bo przecież Telewizja ma co prawda dwa kanały ale jeden gmach, jeden zespół i jednego szefa. Pozostaje więc pierwsza ewentualność.

I jeszcze zabawny przykład z dnia 26 sierpnia. Trwa od dwu dni Festiwal Piosenki w Sopocie, prasa informuje na bieżąco, „Lato z radiem" na falach eteru przekazuje nam nawet na żywo burzliwą dyskusję fotoreporterów nad kandydaturami do tytułu „Miss Obiektywu"... A telewizja?

Telewizja tego dnia serwuje widzom program... Sopot 75. Tak jest! Słownie siedemdziesiąt pięć. Sprzed roku!

Trudno nie odnieść wrażenia braku programowej koncepcji, gdy podobne przykłady można mnożyć. Zbyt dużo tych pomyłek czy śmieszności, aby je zbyć bagatelizującym: „no, cóż, raz się zdarzyło". Rzecz w tym, że nie raz i nie dwa...

Uwagi te spisuję raczej sobie a muzom, bo małe są szanse iż telewizja weźmie je do siebie. Telewizja jest bowiem poza wszelką krytyką. Przeciętny „redaktor Kowalski" z chwilą przejścia z gazety do telewizji staje się automatycznie wyrocznią. Może spokojnie rozdzielać cenzurki, bowiem polemika z telewizją nie ma sensu. Kowalski z telewizji mówi do milionów — Kowalski z gazety może mu odpowiedzieć w iluś tam tysiącach egzemplarzy. Nie ma szans.

W programie „Wszystko za wszystko" Edward Mikołajczyk, jeden z najlepiej uczesanych ludzi telewizji, wypowiada zupełnie bez sensu uwagi pod adresem czasopisma „Karuzela", że — jakoby już tylko „Karuzela" preferuje głupie dowcipy o dolnych częściach garderoby... O co chodzi — nie wiadomo. Oczywiście Mikołajczyk nie musi „Karuzeli" czytać, nie musi więc wiedzieć o czym i jak pisze „Karuzela", ale uwagi bez sensu może przed wielomilionową widownią czynić. Może, bo pracuje w telewizji.

Kiedyś też znalazły się w „Odgłosach" jakieś krytyczne uwagi na temat E. Mikołajczyka. Krótko po tym tygodniku, „Radio i Telewizja" nasz idol był łaskaw wypowiedzieć się — enigmatycznie i półgębkiem — na temat poziomu łódzkich „Odgłosów". I takie to są zabawy.

Kiedy pisząc o telewizji piszemy telewizja — nikt się nie odzywa, bo brak konkretnego adresata. Kiedy adresat jest konkretny — „redaktor Kowalski" wpada w irytację, czuje się obrażony i odgraża się jak dziecko. Może więc lepiej będzie jeśli zlikwiduje się rubryki telewizyjne w prasie, a prawo pisania o telewizji będzie miał — zgodnie ze specjalizacją — tygodnik „Radio i Telewizja" — należący jak wiadomo do Wydawnictw Radia i Telewizji. I wszystko zostanie w rodzinie.

TELEMAN

POWIEŚĆ W ODCINKACH (4)

bohater na ośle

MIODRAG BULATOVIĆ

Rys. J. Szymański — Glanc

— Historia, którą opowiadasz, jest smutna i jednocześnie zabawna — rzekł pułkownik Allegretti.

— Wszystkie historie, które tu słyszałem, są takie — odparł pułkownik Fabiani i ciągnął dalej.

Nie minęły nawet dwa lata, a pop, niby żartem, podarował podrzutka hodży. Hodża w swoim domu trzymał ochrzczone stworzenie zaledwie parę miesięcy. Kołyska trafiła potem do domu najpobożniejszego w miasteczku Czarnogórca, wdowca, długoletniego urzędnika państwowego. Wszyscy myśleli, że nareszcie znalazł się właściwy ojciec. Ale gdy powściągliwy wdowiec skończył w więzieniu z powodu sprzeniewierzenia pieniędzy z kasy miasteczka i gdy skutego, ku przerażeniu mieszczan, dokądś go wywieziono, chłopca wzięły jakieś stare panny. U tych chorowitych bab też nie pozostał długo — zabrał go kto inny.

Nosili go tak, prowadzili z domu do domu, dopóki nie skończył siedmiu czy ośmiu lat. Wtedy chłopiec zaczął oddalać się, stronić i uciekać od wszystkich, zwłaszcza od tych, którzy go wychowywali i karmili. Włóczył się z innymi dziećmi, najmował się do służby i żebrał. Sypiał pod mostami, w piwnicach i na strychach; mieszkał w stodołach i chlewach. Ludzie wydziwiali nad nim, że tak często się czerwieni i niechętnie przekracza cudzy próg.

Dopiero gdy skończył dwadzieścia lat, mieszkańcy miasteczka zauważyli, że oczy ma duże, błyszczące i smutne, i że jest niższy, szczuplejszy, bardziej niepozorny od swoich rówieśników.

— Pop go zauroczył dając mu nazwisko Malić — powiedział kupiec, któremu Gruban często usługiwał. — Nie trzeba było do tego dopuścić.

— No pewnie, jak on śmiał — przytaknął inny kupiec owijając wokół palca wskazującego łańcuszek z kluczami. — Malić. No tak. Hm... Malić.

— Szkoda — wtrącił zakrystian. — A tak przymilnie patrzy...

— Został ochrzczony — znacząco dodał hodża. — Całe szczęście, że wyżył. Gdybym go ja wpisał do moich ksiąg, byłby silniejszy od samego popa.

Nikt, nawet główny szpieg w miasteczku nie wiedział, skąd ten trzydziestoletni wielkooki czort wziął pieniądze na otwarcie karczmy. Kupcy i właściciele sklepików szeptali, że rozbił czyjąś kasę. Ale że nie wpłynęły na niego żadne donosy, zawistni zaczęli szerzyć wieści, że Malić jest związany z jakąś tajną organizacją, która nie wie co robić z pieniędzmi, więc je lokuje w knajpach, szulerniach i domach publicznych.

Skąd ten pomysł, żeby właśnie w dniu wkroczenia naszych oddziałów do miasteczka otworzyć ciasny, zatęchły i brudny lokal? — spytał pułkownik Allegretti.

— Ach, z Czarnogórcami nigdy nie wiadomo — powiedział pułkownik Fabiani. — Skąd ten pomysł, pytasz. Sam diabeł tego nie wie. A może i sam karczmarz. Czarnogórców tak trudno jest zrozumieć...

— Czy czasem nie udzielają mu kredytu komuniści? — spytał konspiracyjnie pułkownik Allegretti.

— Komuniści by komuś udzielali kredytu? — obruszył się pułkownik Fabiani, wychyliwszy kieliszek. — Nie bądź naiwny, Spartaco. Przy nich jeszcze nikt się nie wzbogacił.

— Doświadczenie nas uczy, że wszystko jest możliwe — szepnął pułkownik Allegretti.

— Ale żeby komuniści komuś pomogli, to zupełnie niemożliwe — gniewnie rzucił pułkownik Fabiani. — Zresztą, nie mają pieniędzy: żyją z grabieży, rabunku i z tak zwanych dobrowolnych datków, które nie są niczym innym jak żebraniną. A gdyby nawet mieli pieniądze, nie pożyczyliby ich, a tym bardziej nie dali podejrzanemu, jak to oni mówią, prywaciarzowi. Dlatego bądź pewny, że przynajmniej na razie nie ma on z nimi i nie może mieć nic wspólnego.

— Od razu rzuciło mi się w oczy, że w tej jego melinie przesiaduje więcej żołnierzy niż w innych podobnych karczmach — znacząco zauważył pułkownik Allegretti.

— Znalazł sposób. Sprzedaje alkohol za pół ceny.

— Zdaje się, że za dużo cywilów bywa w tej spelunce — pokręcił głową pułkownik Allegretti.

— Czarnogórcy — życzliwie szepnął pułkownik Fabiani — można powiedzieć, nie wychodzą z karczmy. Zresztą, oddaję ich w twoje ręce. Studiuj ten problem, ile tylko zechcesz. Ja wracam do złodziei z Salonik, którzy, jak słyszę, często mnie wspominają.

Dopiero gdy hucznie, z wszystkimi potrzebnymi i niepotrzebnymi szykanami odprawił swego poprzednika, pułkownik Allegretti został poinformowany, w co tajemniczy karczmarz tak obficie zaopatruje jego żołnierzy i cywilów.

O tym, że Gruban Malić sprzedaje żołnierzom prezerwatywy, dowiedział się najpierw major Peduto. Vittorio Brambilla, szpieg Agić i jacyś podoficerowie powiadomili pułkownika, że człowiek o zapadniętych policzkach, pod ladą i w różnych schowkach, ma w swoim lokalu oprócz prezerwatyw całe sterty rozmaitej pornografii.

— Szanowny panie pułkowniku — zaczął kapitan Brambilla czerwony jak burak — żołnierze kupują niesamowite ilości wyżej wymienionego towaru. Nie umiem powiedzieć, czego on więcej rozpowszechnia: tego pierwszego — proszę pozwolić, że tym razem nie powtórzę już brzydkiego słowa — broszur i czasopism, w których opisuje się haniebne rzeczy i czynności, czy serii zdjęć nagich kobiet i mężczyzn, stosunków płciowych i innych niegodziwości.

Następnego ranka pułkownik przyjął hodżę.

— Najuprzejmiej pana proszę, panie komendancie — rzekł na koniec swojej przesadnie długiej opowieści obłudny siwy starzec — aby pan zabronił wyżej wymienionemu Maliciowi sprzedaży wszystkiego, o czym mówiliśmy, a zwłaszcza środka przeciwko zachodzeniu w ciążę. Myślę tu przede wszystkim o ludności muzułmańskiej, której strzegę i bronię w miarę moich możliwości, a nie interesuje mnie los Czarnogórców, którzy nawiasem mówiąc, skłonni są do wszelkiego łajdactwa, zwłaszcza do niemoralnych czynów i do polityki.

Od miesięcy pijany pop Vukić skłonił się przed komendatem miasta i głośniej, niż to jest przyjęte w podobnych okolicznościach, zażądał, aby pułkownik „możliwie jak najszybciej zabronił panu Maliciowi bezkarnego rozprowadzania Bóg wie jakich rzeczy, a zwłaszcza proszków i pigułek, sprawiających, że z dnia na dzień ubywa zdrowych i bohaterskich Czarnogórców".

Pułkownik Allegretti pozostał jednak głuchy na wszystkie te oskarżenia. Spacerował po rynku, przechodził koło knajpki Malicia udając, że nic nie widzi i nie słyszy. Z czasem przestał otrzymywać ustne i pisemne skargi.

Słońce stanęło tuż nad prawosławną cerkwią. Omal się nie nadziało na zaniedbany, skrzywiony i zardzewiały krzyż. Toczyło się nad wysuszonymi i nadgniłymi dachami, krążyło i męczyło się jak chory pająk, tak że nikt, gdyby nawet śmiał, nie mógł podnieść głodnej, spragnionej głowy. Dławiło się kurzem to letnie słońce, a znikąd nie miało pomocy: w dole wąskie, smrodliwe uliczki i zaułki; kocie łby i góry zaschniętego błota; żołnierze w przegrzanych hełmach z leniwymi bagnetami na karabinach. Żołnierze bez pasów, senni i bezwolni; bose, zaniedbane dzieci, które ze starymi garnkami obiegały koszary i magazyny wojskowe; i kobiety jak widma, w czarnych muzułmańskich łachmanach.

Dzwony biły i pułkownikowi Allegretti od tego jęku, który załamywał się nad samą jego głową, było jeszcze goręcej. Wycierał chustką kark i czoło, ale coraz bardziej się pocił. Stojąc w drzwiach Komendy, spojrzał ku dzwonnicy. Kurzu było więcej niż jęku dzwonów, więcej niż światła i pułkownik nie mógł dojrzeć dzwonnika.

Kaszląc nerwowo w chusteczkę, zastanawiał się, dlaczego tak długo i tak głośno dzwonią; chyba nigdy dotychczas nie robili tyle hałasu. Zdawało mu się, że to przeraźliwe dzwonienie, ten łomot bez sensu i rytmu wzbija leżący spokojnie kurz z bezkształtnego rynku ze studnią pośrodku i z prawie uschniętych koron lip okalających Komendę, ze spokojnych przedmiotów i uspokojonych ludzi.

Dzwon huczał nadal, a pułkownik jedną ręką trzymał się za pas i rewolwer, drugą zaś zbierał z czoła lepką wilgoć; na każde uderzenie miedzianej pałki w starą, szeroką muszlę dzwonu wzdrygał się jak w niespokojnym śnie.

Nagle zaskoczył go lament hodży. Oderwał podejrzliwy wzrok od dzwonnicy cerkiewnej. Przez chmurę kurzu dostrzegł tylko zniszczony drewniany minaret. Ale turbanu hodży nie było na szczycie dziwnej świątyni i pułkownikowi wydało się, że zarówno dźwięk dzwonów, jak ten słaby, ochrypły, zupełnie niezrozumiały skowyt sączą się z samego nieba.

Wiatr albo jakiś podobny diabeł rozpędził chmurę kurzu, która niby słup dymu wznosiła się i kłębiła wokół meczetu, i pułkownik wreszcie zobaczył hodżę; wpół przegięty nad poręczą galeryjki, niebezpiecznie wychylony, starzec śpiewał. Długi, głęboki, gardłowy głos dobywał się z rozwartych ust, odrywał od białej brody i upiornie kołował nad miasteczkiem. Hodża dłońmi dotykał policzków, a potem wyciągał ręce, jak gdyby bezradny a jasnowidzący, przywoływał tych słabych, opuszczonych ludzi, którzy z okien lub ze sklepików wpatrywali się w niego nabożnie.

Niewytłumaczalnie silny lęk sprawił, że pułkownik, blady i zesztywniały, zszedł ze schodów Komendy. I podczas gdy żołnierze zbierali się wokół niego, patrzył, jak rozpaczliwie wykrzywiona twarz hodży zwraca się to ku niebu, to ku pobożnym i innym ludziom, którzy ledwo dostrzegalni pełzali po ulicach. Ani coraz głośniejszy jęk dzwonów, ani kurz wzbijający się w górę nie mogły zagłuszyć ani tym bardziej powstrzymać długorękiego, pełnego rozpaczy człowieka, ze sznurem paciorków do modlitwy, w ciężkim turbanie nakrywającym głowę.

To nie modlitwa — myślał pułkownik nie dostrzegając, że dziesięciu żołnierzy sformowało już drużynę. — I nie znak, że ktoś umarł. Obie świątynie nie ogłaszałyby jednej śmierci, a trudno uwierzyć żeby dwóch się zmówiło i umarło na raz... to rewolucja, hasło do jeszcze jednego buntu. Tak, tak, ten starzec jęczy już prawie pół godziny, a dzwony grzmią nie wiadomo od jak dawna. Lada chwila Czarnogórcy mogą rzucić się do walki.

Na tę myśl pułkownikowi zjeżyły się włosy. Zobaczył siebie w starciu z wąsatymi, długonogimi ludźmi i sposępniał. Zapiekło go ramię — pamiątka po niespodziewanym spotkaniu z czarnogórskimi zdrajcami. Zmrożony strachem, spojrzał na stojącą w szeregu, osłupiałą drużynę. Ale nim zrobił krok naprzód, podeszli do niego dwaj oficerowie. Nie widział, jak zasalutowali i złożyli jakiś meldunek. Patrzył gdzieś ponad dachy, poprzez meczet i dzwonnicę cerkwi; patrzył i mrugał powiekami.

Przyzwyczajeni do jego mrugania i wpatrywania się w dal, kapitanowie czekali — Stali jeden obok drugiego: Vittorio Brambilla, niewysoki, grubawy, z małymi, złymi oczkami i długim, spłaszczonym nosem, i Lorenzo Fioravanti, najpotężniejszy ze wszystkich oficerów, długorękie chłopisko o silnie wysuniętych szczękach i szerokim czole.

— Czuję alkohol — rzekł cicho pułkownik. — Śliwowicę.

Kapitanowie milczeli.

— Który z was dwóch jest pijany? — spytał pułkownik wpatrując się w góry na horyzoncie.

— Nietrudno to stwierdzić, panie pułkowniku — z przekąsem powiedział kapitan Brambilla.

— Czyżby znowu pan, kapitanie? — zwrócił się pułkownik do Lorenza.

— Znowu ja — wybełkotał Lorenzo i zachwiał się na nogach. — Proszę o wybaczenie, panie pułkowniku.

— Czy nie sądzi pan, kapitanie, że nie jest to odpowiedni moment do picia? — zaczął pułkownik. — Właśnie w chwili, gdy powinien pan być najtrzeźwiejszy i najbardziej przytomny, pan się upija. Trochę to dziwne, prawda?

— Najogólniej mówiąc, to jest dziwne — kapitan Brambilla zamrugał jak ptak.

— Nie mam nic przeciwko tej ich przeklętej śliwowicy — rozśpiewał się pułkownik. — Uważam nawet, że to znakomity alkohol. Ale nie pora teraz...

— Świetnie pan to określił, panie pułkowniku — wtrącił kapitan Brambilla. — Prosto, a dosadnie: nie pora!

Właśnie że pora teraz na rakiję i wszelkie inne trucizny — pomyślał kapitan Fioravanti ledwie trzymając się na nogach. — Na rakiję, na całkowitą utratę przytomności i pamięci... — Wydało mu się, że pułkownik ma dwie głowy, trzy ręce i kilka rewolwerów. — Złoszczą się na mnie, a nie wiedzą, że alkohol nigdy nie był mi bardziej potrzebny.

— Kapitanie — rzekł pułkownik do Lorezna — na przyszłość proszę mi oszczędzić takich spotkań. — Jestem człowiekiem wyrozumiałym, nie lubię rozdzielać włosa na czworo, ale...

— Ale nie pora — wtrącił Brambilla i uśmiechnął się do przełożonego.

Pułkownika zdenerwowało to wtrącanie się Vittoria i szybko odwrócił wzrok od oficerów, jego eskorta, dziesięciu uzbrojonych żołnierzy w pełnym pogotowiu piekło się na słońcu.

— Nie wydaje się panom, że dzwony dziś za długo dzwonią? — cicho spytał pułkownik. — A nawet i ten... ten siwy biedak... jak to oni mówią... hodża niezwykle długo śpiewa. Wierzcie, to wszystko mnie dziś niepokoi.

Kapitanowie milczeli stropieni.

— Tak wściekle dzwonią i śpiewają już całe pół godziny. Myślę, że to wcale nie jest modlitwa, tylko wezwanie do buntu. A co pan o tym sądzi, panie Fioravanti?

— Sądzę, że tu nie ma kto się buntować — powiedział Lorenzo. — A dzwonią i śpiewają po prostu z nudów, panie pułkowniku. Dziś niedziela, i ostatnio częściej umierają.

— Najwyraźniej jest pan dzisiaj w dobrym nastroju — rzekł pułkownik i szybko spojrzał na drugiego kapitana.

— Cóż, ja się poniekąd z panem zgadzam, panie pułkowniku — powiedział kapitan Brambilla i poważnie, a nawet z troską ściągnął rozsunięte brwi. — Nie zapominajmy, że Czarnogórcy, a zwłaszcza czarnogórcy komuniści są gotowi na wszystko. Może pan być pewny, że pomimo naszej przenikliwości i chytrości jeszcze pojęcia nie mamy, jakie to lisy.

— A więc i panu to dzwonienie i zawodzenie wydaje się podejrzane? — odkaszlnąwszy, z powagą spytał pułkownik.

— Tak! — zakrzyknął kapitan Brambilla. — Nawet jeżeli w ten sposób obwieszczają czyjąś śmierć, nawet jeżeli któregoś ze swoich „bohaterów" mają odprowadzić na cmentarz. Nie trzeba zapominać, panie pułkowniku, że komuniści nawet zwyczajny pogrzeb potrafią wykorzystać dla celów propagandowych; po pierwsze, naród umiera rzekomo pod faszystowskim, jak to oni mówią, jarzmem; po drugie, nawet na widoku potrafią odbyć naradę polityczną; i po trzecie, nie odważałbym się gwarantować, że z tego ich „pogrzebu" nie uderzą prosto na nas, i to z bronią, którą mogą ukryć, na przykład, w trumnie z „nieboszczykiem"...

(cdn)

Przełożyła:
DANUTA CIRLIĆ-STRASZYŃSKA

KARTY

Zaraza przyszła z Zachodu — powiedział niegdyś Karol Estreicher. Dziś karty do gry kupić można w każdym kiosku „Ruchu", ale w wieku XIV święty Bernard z Sieny rzucił na karciarzy klątwę. Wielu monarchów wydawało specjalne królewskie edykty potępiające hazard, a dostojnicy kościelni słali do klasztorów surowe napomnienia, bo braciszkowie tracili czas na grze, zapominając o obowiązkach reguły i godzinach modlitwy.

Potem karty przywędrowały do Polski — konkretnie do Krakowa. Pierwsza polska wzmianka o kartach pochodzi z roku 1456 i jest to — oczywiście — zwięzły zakaz używania kart. Musiano więc w karty grywać wcześniej. Znał je dwór wawelski, znał uniwersytet i większe miasta.

Aż wreszcie doczekaliśmy się pierwszego króla-karciarza. Był nim Zygmunt Stary. Podobno grywał w karty namiętnie — nigdzie się bez talii nie ruszał. Wówczas to przywędrowali do Polski pierwsi rzemieślnicy trudniący się wyrobem kart — Paweł Czipser i Hanusz z Bolesławia. W drugiej połowie XVI wieku w ówczesnym Krakowie księgi miejskie notują aż czterdziestu wytwórców kart. Mają nawet swój cech.

I tak to się zaczęło. Opowiada o tym Andrzej Hamerliński w swoich ciekawych szkicach o kartach, karciarzach, szulerach i grach. Jest to książka, która zainteresuje nie tylko miłośników brydża i pokera.

Andrzej Hamerliński-Dzierożyński — „O kartach, karciarzach, grach poczciwych i grach szulerskich" — Wyd. Literackie, cena 70 zł

ŚMIECH ŚMIECHEM

Stefan Wiechecki, czyli Wiech, już dawno przeszedł do historii literatury. Stworzona przez niego gwarę prof. Doroszewski nazwał „wiechem" i powstało już na jej temat wiele rozpraw naukowych. Wiechecki zaczynał jako dziennikarz, pozostał zresztą dziennikarzem do dziś, ale stworzona przez niego gwara nie jest zapisem rzeczywistego języka lecz jest swego rodzaju leksykalną kreacją opartą wszakże o pierwiastki naprawdę istniejące.

Ostatnio w „Czytelniku" ukazał się duży tom felietonów-humoresek Wiecha pt. „Śmiech śmiechem". Jest to swego rodzaju kronika Warszawy od pierwszych dni wyzwolenia aż po dzień dzisiejszy. Wiele z tych felietonów pamiętamy, wiele powiedzonek krąży dziś w mowie potocznej. Czytamy jednak tę książkę z zainteresowaniem, bo Wiech posiada umiejętność niezwykle cenną — potrafi czytelnika zafrapować, i co najważniejsze — nigdy nie nuży.

Zważywszy popularność tego pisarstwa, nie tylko wśród warszawiaków, nakład książki wydaje się nam dość skromny, zwłaszcza że jest to wybór właściwie retrospektywny i jubileuszowy. A przecież pisarstwo Wiecha posiada dwie cechy — jest to dziś swego rodzaju klasyka i jest to lektura do czytania.

Wiech — „Śmiech śmiechem", Czytelnik, cena 55 zł

KRAKOWSKIE WSPOMINKI

Antoni Wasilewski — popularny, związany przez całe życie z Krakowem rysownik, karykaturzysta i dziennikarz, początkowo współpracował z „Ilustrowanym Kurierem Codziennym", następnie w roku 1930 został redaktorem naczelnym satyrycznego pisma „Wróble na dachu". Miał wówczas zaledwie 25 lat, ale w tamtych czasach nie było to ewenementem.

W 1939 roku Wasilewski po tułaczce wojennej poprzez Rumunię, Włochy i Francję znalazł się w Wielkiej Brytanii. Tam, w trudnych wojennych warunkach nie słabła jego inicjatywa — zakładał wojskowe pisma i teatrzyki, organizował odczyty dla żołnierzy, nadal rysował i pisał. Po zakończeniu wojny współpracował z pismami angielskimi i szkockimi.

W 1957 roku wrócił do kraju i w Krakowie kontynuował swoją działalność. Jego felietony, rysunki, karykatury stale ukazywały się w wielu dziennikach i czasopismach. Dużą popularnością cieszyły się jego felietony radiowe. Wydał kilka książek — „Akademia w karykaturze", „Krynica w rysunkach", „Refudziady" — był też współautorem „Kopca wspomnień".

Zmarł rok temu w Krakowie. Jego ostatnia książka to właśnie wybór felietonów poświęconych swojemu miastu — wybór wzbogacony kilkudziesięcioma rysunkami i karykaturami.

Antoni Wasilewski — „Dryndą po Krakowie", Wyd. Literackie, cena zł 25.—

KLERK HEROICZNY

Karol Irzykowski, jeden z najwybitniejszych krytyków literackich w polskiej literaturze nie był dzieckiem szczęścia, nie był „beniaminkiem" jak choćby Boy-Żeleński. Przez całe swoje owocne i pracowite życie nie otrzymał ani razu nagrody literackiej, państwowej czy miejskiej. Nigdy nie był wysyłany za granicę, nie otrzymywał żadnych stypendiów czy synekur literackich. Przez prawie dwadzieścia lat był w międzywojennej Polsce urzędnikiem i stenografem w Sejmie — zamiast pisać. „Trudno — powiedział kiedyś Irzykowski — życie polega na tym, że nie można żyć".

W serii „Portrety wielokrotne" Wydawnictwa Literackiego Barbara Winklowa przygotowała tom zawierający wspomnienia biograficzne, które napisano z różnych okazji w ciągu trzydziestu lat jakie minęły od śmierci pisarza. Ponadto włączono do tomu fragmenty dzienników Stanisława Brzozowskiego, Zofii Nałkowskiej i Andrzeja Trzebińskiego — zawierające materiały zbliżone charakterem do wspomnień o pisarzu.

Z tego pokaźnego zestawu materiałów wyłania się postać godna szacunku — postać heroicznego klerka, pisarza wiernego sobie i swojej wizji. Pisarstwo i postać Irzykowskiego oceniano zawsze bardzo kontrowersyjnie. Różnorodność ocen i rozbieżność opinii skłania do wniosku, że Irzykowski jest zbyt trudny i zbyt skomplikowany ażeby jednoznacznie określić jego osobowość. Jedno jest pewne — wniósł do polskiej literatury bardzo znaczący ton i głębię przemyśleń. A mimo to wciąż jego twórczość znana jest nielicznym. I mało kto wie, że to on pierwszy tworzył w „Pałubie" nową prozę, nurt który zdobył światowe uznanie dopiero późniejszymi dokonaniami Joyce'a i Prousta. Ale kiedy ukazała się „Pałuba" nikt nie pomyślał o przetłumaczeniu jej na obce języki i dziś jest to pozycja tylko polskiej literatury choć mogła się stać odkryciem literackim na skalę światową.

„Klerk horoiczny", Wyd. Literackie. cena zł 70.—

WARTO PRZECZYTAĆ

Jurij Bondariew — „Gorący śnieg" Czytelnik, cena zł 38.—
Jan Griraudoux — „Przygody Hieronima Bardiniego", PIW, cena zł 15.—
Paweł Hertz — „Portret Słowackiego", PIW. cena zł 25.—
Zygmunt Kałużyński — „Wenus automobilowa" PIW. cena zł 30.—
Władysław Litmanowicz — „Polscy szachiści, 1945—1975", „Sport i Turystyka", cena zł 30.—
Miguel Leon Portilla — „Dawni Meksykanie" WL. cena zł 50.—
Szota Rustaweli — „Rycerz w tygrysiej skórze" — przełożył i posłowiem opatrzył Jerzy Zagórski. przy konsultacji filologicznej doc. dra Jana Brauna. WL. cena zł 100.—
Jan Sieniarski — „Sport in Polen". Inter., 1976, cena zł 50.—
Marian Stępień — „Spór o spuściznę po Stanisławie Brzozowskim" WL. cena zł 30.—
Lope de Vega — „Peribánez i Komandor", WL. cena zł 35.—
Wiktor Zawada — „Szukam pana Kalandra", W. Lub., cena zł 25.—

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

WRZESIEŃ

Wrzesień — czas zakwitania wrzosów, piękna pora roku, choć na pewno najsmutniejsza mimo tej orgii barw, mimo ugrów i umbrów płonących w drzewach...

„Pogoda ustaliła się cudnie. Był to początek września. Słońce nie prażyło już za mocno, ale rzucało jeszcze obfite złote blaski. W blaskach owych lśniły się czerwone jabłka, wśród szarych liści siedzące tak obficie, że drzewa zdawały się być nimi oblepione. Gałęzie śliw gięły się pod owocem okrytym siwym woskiem. Pierwsze zapowiednie nitki pajęczyny, powczepiane do drzew chwiały się wraz z leciuchnym powiewem, tak lekkim, iż szeleścił nawet liśćmi". To Henryk Sienkiewicz. Jeszcze wówczas wrzesień oznaczał tylko jesień i owocobranie — jeszcze nie nabrał w polskiej symbolice tragicznych znaczeń.

Jeszcze wówczas Wincenty Pol pisał o wrześniu tak:

„Coraz ciszej —
wrzesień! wrzesień
Słońce rzuca blask
z ukosa,
I dzień krótszy, chłodna
rosa
Ha i jesień — polska
jesień"

Jeszcze wówczas wrzesień dominował symboliką pejzażu. Były tam **„liści opadłych złote dywany", „winograd co ognia strzępami zwisa"**, — była tam **„jesień w bursztynowym fruk-cie"** — smutna ale nie tragiczna.

Ale tamte poetyckie wrześnie przesłoniły dni klęski i odtąd już fioletowe imię miesiąca spowite jest we mgle.

Oto zapis żołnierza, którego armia poniosła klęskę, żołnierza uwożonego w zaplombowanym wagonie na obcą, wrogą ziemię, na długich pięć lat niewoli:

„Przez szparę odłupaną w ścianie odłamkiem niemieckiej bomby widać było ostatnie przedgraniczne wioski. Ze ściernisk i łąk podnosiły się mgły wchłaniające czerwień zachodzącego słońca. Pociąg zwolniwszy wtoczył się na most. Nie widać chat ani pastwiska. Nie widać nic. Żołnierz w pokracznym hełmie zasłonił wszystko. Oczy mam pełne wilgotnej, prawie purpurowej mgły..."

„Dudnią drogi, ciągną
obce wojska
a nad nimi złota jesień
polska
Siedzi żołnierz ze
spuszczoną głową
zasłuchany w tę skargę
brzozową
bez broni, bez orła na
czapce
bezdomny na ziemi —
matce".

Ile tych zapisów — tych wierszy żołnierzy-tułaczy, żołnierzy-jeńców? Zrodził je wszystkie tragiczny polski wrzesień — ta mgła wrześniowa, te dni klęski. Zaowocowała nam literatura tragiczną, polską symboliką września.

Już nie „dni krótsze, chłodna rosa" — już nie „gałęzie śliw zgięte pod owocem okrytym siwym woskiem" — ale „katastrofy lotnicze pod niebem bezchmurnym", ale „dudniące drogi" i „śmierć popalonych książek"...

Boleśnie i gorzko zapisał się wrzesień — piękny miesiąc płonący orgią kolorów — krwawo odcisnął się w naszej historii. I taki jest jego zapis w literaturze.

„Bateria wyciągnęła na drogę i ruszyła w nakazanym kierunku. Ludzie w marszu dojadali zapiaszczony gulasz. I znów przez piaski i lasy... W środek lun obejmujących nas z trzech stron..."

I taki już pozostanie w naszej świadomości polski wrzesień. Bolesny i gorzki.

WIDOK

AFORYZMY

Znów spotkałem się z oszustwem. W pewnym klubie prelegent miał odczyt o tym, że Boga nie ma. Niejako mówił o niczym.

* * *

Jak to? X próbuje myśleć?! To jest nie do p o m y ś l e n i a!

* * *

Żywi do konających: „Prosimy o zwrot naczyń. Krwionośnych".

* * *

O, biada! gdy kompleksy porastają tłuszczem.

* * *

Stara bieda nigdy się nie starzeje.

POSTAWY i OBYCZAJE

W WYŻSZYCH SFERACH

Nic tak nie cieszy jak koniec lata i wakacji, w tym zaś roku odczuwamy radość chyba większą niż w poprzednich, wynudziliśmy się bowiem serdecznie. Kiedy lato jest niejako normalne, bawią nas nasze publikatory mnóstwem sensacyjek i niezwykłości, w prasie prawdziwe zatrzęsienie rozmaitych „michałków", plotek i kuchennych rewelacji. Tym razem prawdziwa posucha. Szczerze mówiąc doczytałem się tylko dwóch sensacji. Oto Polski Związek Piłki Nożnej dowiedział się wreszcie, o czym wszyscy od dawna wiedzieli, że w naszej lidze piłkarskiej panują niemoralne stosunki, przekupstwo i kaperownictwo. Kupuje się za walutę czy dary techniki, ze szczególnym uwzględnieniem produkcji przemysłu samochodowego, nie tylko zawodników, ale nawet całe mecze wraz z publicznością. Wiedza PZPN jest na razie ograniczona, sięga zaledwie trzeciej ligi, no, ale żyjemy w czasach poszerzania horyzontów, więc może za rok dowiemy się, że i II liga, za rok I i wyżej.

Drugą wiadomość także wyczytałem w prasie, akurat na zakończenie sezonu ogórkowego. Artykuł miał, i owszem, bardzo frapujący tytuł — „Przegrał w pokera milion skradzionych złotych". Pomyślałem sobie — znakomita kaczka dziennikarska, w sam raz na koniec lata — jakiż bowiem normalny złodziej, z przyzwoitym stażem, kradnie milion złotych po to tylko, żeby sobie resztę dorobić w pokera, w końcu to ryzykowna gra, bardziej niebezpieczna niż kradzież. Wariat, a nie porządny złodziej. I rzeczywiście, chodziło o typowego amatora, zajmującego do niedawna państwowy etat naczelnika Urzędu Pocztowego w Ustroniu Morskim, który sam sobie wyrobił książeczkę oszczędnościową, sam przyjmował fikcyjne wkłady i wyciągał z kasy realne banknoty Narodowego Banku Polskiego. Nasz bohater przez piętnaście lat będzie sobie uświadamiał, że takich manipulacji nie należy dokonywać, to nie jest zabawa w bezinteresowny, amatorski sport. Nim jednak były naczelnik przeniósł się do celi udzielił czegoś w rodzaju wywiadu. Spytany mianowicie — dlaczego przydzielił sobie prawie milion złotych, odpowiedział szczerze: „Wziąłem, aby pograć w pokera. Przegrałem, chciałem się odegrać". Wynika z tego, że stawki idą u nas wyraźnie w górę.

Wróćmy jednak do sprawy. Udzielanie wywiadów stało się bardzo modne, powiedziałbym — jest w dobrym tonie. Na dobrą sprawę można ludzi podzielić na dwie kategorie: tych, którzy już wywiadów udzielali i resztę, która ich z pewnością udzieli, boć przecież każdy może być zaczepiony przez kogoś z radia, prasy czy telewizji, w domu, na ulicy, przy pracy i zapytany, na przykład, czy wie co to jest Cepelia, jakie będą wyniki meczu, albo kto to był Karol Szymanowski. Demokratyzacja wywiadów, których udzielali kiedyś tylko luminarze, z pewnością posiada wiele zalet. Okazuje się bowiem, że wielu zwykłych i nie zauważanych ludzi ma dużo ciekawego do powiedzenia. Ale nie wszyscy. Czytałem wywiady, bez których moglibyśmy się z powodzeniem obejść, zwłaszcza kiedy udzielają ich przedstawiciele niektórych wyższych sfer artystycznych. Nie wszyscy przedstawiciele, tylko też niektórzy. To wcale nie jest aluzja do słynnego wywiadu, którego udzieliła tygodnikowi „Kultura" Maryla Rodowicz. Dowiedzieliśmy się przecież czegoś konkretnego na temat wysokich kosztów utrzymania gwiazdy, no ale nie bądźmy małostkowi, wydatki na stroje amortyzują się szybko, ponieważ nasza gwiazda rzeczywiście znacznie lepiej śpiewa niż udziela wywiadów.

Trudno jednakże pojąć czemu mieliśmy okazję oglądania na szklanym ekranie coraz bardziej kiepskiego zespołu — „Trubadurzy". I to w całości. Rozłożeni niedbale na fotelach młodzieńcy, w mocno już po poborowym wieku, uraczyli nas żalami, które nikogo nie obchodzą. Czy naprawdę musieliśmy wysłuchiwać biadania na temat stosunków w Estradzie, czy też na giełdach piosenki, gdzie łokcie więcej znaczą od talentu, a najwięcej znaczy pieniądz? Znamy to przecież. Czy istotnie musieliśmy się zapoznać z bardzo złą polszczyzną, podziwiać misterne zdania, w których podmiot nie może znaleźć orzeczenia, a jak już znajdzie to darmo szukają we dwójkę sensu? Znamy taką polszczyznę.

Wywiad jest trudnym, ale i szlachetnym rodzajem wypowiedzi osobistej. Powinien — tak jego zasadniczy sens rozumiem — nobilitować mówiącego, a nie ośmieszać, przekonać nas, że udzielający wywiadu ma rzeczywiście coś ważnego do powiedzenia. Ranga wywiadu spada, dewaluuje się, z anteny, ze szpalt gazet sypią się tony sieczki, produkowane przez trzeciorzędne gwiazdeczki, rozmaite primabaleriny jednego sezonu jazzowego, sportowego, czy mody, sypią sieczką i nasi, Bogu ducha winni, zwykli Kowalscy, przydybani na ulicy i zmuszani do wypowiedzi w kwestiach zupełnie im nie znanych.

Myślę też, że istotną cechą wywiadu powinna być także skromność mówiącego. Mam przed sobą numer magazynu ilustrowanego „Film", pisma skądinąd dobrze, interesująco redagowanego. Temu właśnie tygodnikowi udzielił wywiadu młody, obiecujący filmowiec — Piotr Szulkin. Czytam i oczom nie wierzę. Prowadzący wywiad dziennikarz pyta: „Czy uważa pan sztukę za rodzaj gry w inteligencję?" Obiecujący twórca filmowy odpowiada: „Do obowiązków reżysera należy w szczególności zrealizowanie wymienionego w §1 umowy filmu na podstawie zatwierdzonego scenariusza, przyjętego scenopisu". To jest fragment umowy reżyserskiej. Tam nie ma nic o sztuce.

W ten sposób zostaliśmy poinformowani przez twórcę filmowego, że film wcale nie jest sztuką. Dziennikarz ma jednak wątpliwości, nie ustępuje, wierzy, że to jednak sztuka. Próbuje więc zmusić twórcę do jasnej wypowiedzi: „Jest to fragment umowy o dzieło. Ale od reżysera zależy, czy powstanie dydaktyczna powiastka, czy ambitny utwór artystyczny". Twórca jest stanowczy, stawia kropkę nad i: „Jestem wyzuty z ambicji. Staram się robić filmy". Tak więc okazuje się, że film to jednak nie sztuka, a jeden z jego twórców wyzuty z ambicji. Dziennikarz pyta znowu: „Pragnie się pan zaprezentować jako człowiek rzeczowy i wygodny?" Twórca odpowiada: Nie tylko zaprezentować, pragnę być taki".

I oto mamy już credo młodego filmowca. Włos na głowie bieleje, kiedy się czyta tego rodzaju wywiady. Cui bono?

W ogóle młode i wysokie sfery artystyczne spisują nam się całkiem, całkiem. W katalogu Biura Wystaw Artystycznych, poświęconym malarzowi Andrzejowi Bielawskiemu, pisze o mistrzu Kinga Kawalerowicz. Proszę wybaczyć, nie będę cytował, „Odgłosy" to tygodnik skromny, rumieni się na widok golizny. Otóż pani Kinga spotkała malarza w bocznej uliczce. Poznali się, on miał oczy o dziecięcej przejrzystości, ona została oczarowana. On ją zaprosił do pracowni i pokazywał fotografie. Młodziejcza postać, nagusieńka, wspaniała, obok niej równie nagusieńki kumpel. Porzucone opakowania produktów przemysłu gumowego pięknie harmonizowały z kopulującymi żabkami i dolnymi partiami nagich ciał kobiecych, które mistrz był łaskaw wymalować. On uśmiechał się odrobinę kokieteryjnie, ona wpadła najpierw w stan narkotyczny, potem opadła na kanapę i pogrążyła się — cytuję — „z rozkoszą w kongenialnej atmosferze".

Ponieważ w żaden sposób nie mogę odczuwać kongenialności atmosfery takich sfer artystycznych — pytam: czemu tego rodzaju właśnie postawy i obyczaje są lansowane?

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

RADKO PYTLIK

GENIALNY IDIOTA

Szwejk Haszka jest wyrazem autentycznego życia autora: stąd bierze się często znak równania — Haszek to Szwejk. Nawet znawcy niełatwo jest określić, kiedy improwizacja staje się formą literacką, w którym miejscu dzieło literackie graniczy z uniwersalnością mitu. Przed wojną punkt ciężkości twórczości Haszka stanowiła knajpiarska improwizacja, humoreski były tylko literackim akompaniamentem jego ekstrawagancji. W Szwejku następuje poważna przemiana: niedopracowanie formy, surowość wyrazu, spontaniczność i lekkość improwizacji stają się walorem literackim.

Na wyjątkową pozycję Szwejka w twórczości Haszka zwrócił uwagę Franciszek Langer.

W drobnych humoreskach stawiał Haszek zawsze na tę samą kartę — na pomysł. Poluje bez wytchnienia na nowe pomysły i wszystko inne — styl, opracowanie — bez skrupułów podporządkowuje tej jednej dewizie. Porzuca cały szereg wspaniałych typów, złodzieja Szejbę, właściciela pchłego cyrku Mestka, aczkolwiek wprost prosiły się o rozwinięcie w licznych wariantach sytuacyjnych i ujęcie w jakiś cykl. Szwejk jest jedynym wyjątkiem. Jest typem, do którego autor stale powraca i to w kluczowych sytuacjach swojego życia.

Nawet w Lipnicy nie stracił Haszek swego lekkomyślnego podejścia do twórczości. Stale usiłuje wynajdywać okazję do improwizacji, zawsze woli zabawę niż pracę literacką. Jednakże Szwejk coraz bardziej pochłania jego twórcze siły.

Tempo pisania tej powieści, pomimo częstych przerw w pracy, jest szybkie. Przypuszczalnie w Pradze skończył część pierwszą i w nowym otoczeniu zaczyna pracować mniej więcej w połowie września. Na kartce przesłanej radcy Szvecowi 16 stycznia 1922 roku pisze, że właśnie zabiera się do trzeciej części. Jeżeli najmniej tydzień w tym okresie spędził w Pradze (według relacji Longena), pozostaje na drugą część o piętnastu arkuszach drukarskich trzy i pół miesiąca, z grubsza tydzień na arkusz. Jeżeli do tego dodamy opowiadania, przeciętnie dwa na tydzień, nieregularny tryb życia, święta, uroczystości, Boże Narodzenie, to dojdziemy do wniosku, że jego płodność twórcza była istotnie niezwykła.

Nieregularność twórczości Haszka w ciekawy sposób naświetlają wspomnienia Klimenta Sztiepánka, sekretarza autora Szwejka. U schyłku zimy 1921 roku Haszek oparzył sobie rękę, a ponieważ pisanie sprawiało mu trudność, wezwał do współpracy nie zatrudnionego w owym czasie dwudziestoletniego młodzieńca, syna policjanta gminnego. Umówili się, że będą pracować co dzień od godziny dziewiątej do dwunastej i po południu od godziny trzeciej do piątej. Wynagrodzenie, czterysta koron miesięcznie, miał sekretarz otrzymywać, nawet gdyby nie pracowali. Za godziny nadliczbowe miał dostawać zapłatę raz na miesiąc.

O pierwszych dniach swojego sekretarzowania Sztiepánek tak opowiada:

„Następnego dnia przyszedłem punktualnie, tak jak było umówione, o godzinie dziewiątej. Haszek spał. A ponieważ spała i pani Szura, nawet nie mogłem wejść do mieszkania. Gdy zastukałem w drzwi, Haszek obudził się, a poznawszy mnie po głosie, zawołał, żebym przyszedł za godzinę. Przyszedłem więc za godzinę i powtórzyło się to samo. Haszek wołał z łóżka:

— O Jezu, tak mi się chce spać! Proszę, niech pan przyjdzie za godzinę! Albo jeszcze lepiej — po południu!

Taka gratka — iść do pracy i wracać nie pracując — powtarzała się dość często. Czasem Haszek rzeczywiście wstawał za godzinę, czasem za dwie, czasem w ogóle nie wstawał nawet po południu, a jeśli podniósł się z łóżka, niewiele napisaliśmy. Starałem się przypomnieć mu o jego pracy, ale rzadko udawało mi się go przekonać. Zależało to przeważnie od jego humoru.

Zdarzało się, że mi dyktował w restauracji u Invalda, a równocześnie kłócił się o coś z którymś z gości. W takiej sytuacji musiałem kilka razy pytać o pewne zdania. Albo siedział w towarzystwie malarza Panuszki, radcy sądowego Szveca i dwóch miejscowych nauczycieli, Szikýrza i Maresza, który uczył panią Szurę czeskiego; rozmawiał z nimi z ożywieniem, a przy tym mi dyktował. Kiedyś poszliśmy popatrzeć, jak posuwa się remont domku, który kupił na wiosnę, i stamtąd musiałem wrócić po papier i pióro, usiąść na progu i pisać na skrzyni, tuż koło pracujących murarzy.

Jak już wspomniałem na początku, po raz pierwszy przyszedłem do Haszka na próżno. Przyszedłem po raz drugi po południu i Haszek siedział już przy stole, czekał na mnie i śmiał się:

— Aleśmy się rano napracowali, co?

Kazał pani Szurze przynieść od Invalidów herbatę i podać śliwowicę. Powoli szykowaliśmy się do pracy. Cieszyłem się na Szwejka, byłem ciekaw, w jaki sposób Haszek pracuje, czy ma jakieś notatki, według których układa przygody Szwejka w całość, ale tego dnia niczego się nie dowiedziałem.

— Szwejkowi pozwolimy dziś jeszcze spać i napiszemy coś krótszego — powiedział Haszek ku memu wielkiemu rozczarowaniu.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o zupełnie zwyczajnych rzeczach, ja sobie tymczasem przygotowałem papier, pióro i atrament, po czym Haszek nagle wstał, zaczął przechadzać się po pokoju na kawałku wolnej przestrzeni, założył ręce do tyłu i powiedział:

— No, zaczynamy! Tytułu niech pan jeszcze nie pisze, tylko zostawi wolne miejsce, napiszemy tytuł, jak już opowiastka będzie gotowa, w zależności od tego, co to będzie!

A więc nie tylko ja, ale i Haszek sam nie wiedział, co to będzie. Zaledwie jednak zapalił papierosa, zaczął szybko dyktować i musiałem niezgorzej się zwijać, żeby nadążyć. Był to mój roboczy chrzest, nie miałem dostatecznej wprawy, ale po dwóch godzinach dawałem już sobie radę.

Była to humoreska „Wzajemne stosunki rodziców i dziatek", po raz pierwszy wydrukowana w tomie opowiadań Haszka „Konferencja pokojowa i inne humoreski".

Podczas dyktowania Haszek to chodził, to siadał, czasem się skrzywił, czasem roześmiał, a kiedy podyktował ostatnie zdanie, zaczął się serdecznie śmiać, że tak mu się udało profesora Szvolbe, główną postać humoreski, przenieść w nowe miejsce, na ówczesną Ruś Podkarpacką.

Gotowy rękopis musiałem zapakować i w ogóle przez Haszka nie poprawiony — wysłać na adres poety Opoczenskiego, który redagował zbiór opowiadań Haszka „Konferencja pokojowa".

Potem Haszek mnie jeszcze poprosił, żebym mu napisał list i kilka kart do brata i do znajomych. Na tym zakończył się mój pierwszy dzień pracy.

Następnego dnia zaczęliśmy od samego rana i zaraz od Szwejka. Haszek podał mi kartkę papieru do połowy zapisaną. Spytałem go, gdzie reszta rękopisu, ale on się tylko roześmiał i odpowiedział:

— Wydawca nie może się doczekać, ciągle molestuje o dalszy ciąg, więc mu posyłam, co w ciągu dnia napiszę. Zostawiam sobie tylko tę ostatnią zaczętą kartkę, żebym wiedział, na czym skończyłem.

Byłem też ciekaw notatek Haszka, ale nic nadzwyczajnego nie zobaczyłem. Miał zwykły blok listowy, na początku trochę zabazgrany, ale dalsze kartki były zupełnie czyste. Kiedy Haszek zaczął mi dyktować, nie wziął nawet bloku do ręki. Przez cały czas nigdzie nie zaglądał — po tym zorientowałem się, że owa bazgranina i hieroglify w notatniku nie miały ze Szwejkiem nic wspólnego. Od czasu do czasu jednak rozkładał mapę, było to wtedy, kiedy musiał dokładnie określić trasę wędrówki Szwejka, głównie przy jego podróży z kompanią marszową z Węgier na front rosyjski.

Potem znowu dyktował, spacerując lub siedząc. Od czasu do czasu zapalał papierosa i wołał panią Szurę, która opiekowała się alkoholem, żeby mu nalała kieliszek. Zwykle wtedy zaczynała się między nimi kłótnia. Pani Szura twierdziła, że „Jaroslawczyk" wypił już za dużo i nie chciała mu nalewać. Dopiero gdy obiecał, że to już ostatni, napełniała mu kieliszek.

Następnego dnia napisaliśmy chyba z osiem stron „Szwejka". Haszek dyktował szybko, ale robił dość długie przerwy, poza tym przeszkodziło nam kilka wizyt. Zapisane kartki posłaliśmy wieczorem do Pragi wydawcy Synkowi, tylko ostatnią zaczętą zostawiliśmy w domu.

Czasami na tej ostatniej kartce były tylko dwie, trzy linijki monologu Szwejka, ale Haszek dyktował dalej płynnie i gładko.

Zdarzało się, że nagle, kiedy praca szła świetnie, przestawał dyktować i wybuchał śmiechem. Było to zwykle wtedy, kiedy pozwolił Szwejkowi za długo pleść banialuki albo Balounowi żreć, albo porucznikowi Dubie krzyczeć: „Wy mnie wszyscy jeszcze nie znacie, ale poznacie wy mnie jeszcze;"

Saper Vodiczka był także jego ukochaną postacią.

Technika improwizacji, jaką znamy z Dziejów Stronnictwa Umiarkowanego Postępu, wpłynęła też na charakter największego dzieła Haszka. Z notatek Sztiepánka widać, jak nikłe były szkice i materiały, z których autor korzystał przy pracy. Zachowało się kilka kartek z jakimiś zapiskami; innym zachowanym materiałem są stare austriackie kalendarze, o które prosił Haszek listownie wydawcę Synka. Pozostałe dokumenty, telegramy wojskowe, rozkazy, wytyczne, które składają się na ważny nurt ówczesnej autentycznej rzeczywistości, przytaczał z pamięci. Miał rzeczywiście genialną pamięć, w której rzeczowość i szybka orientacja dziennikarza łączyła się z artystyczną wyrazistością i spontanicznością.

Dzięki tej wspaniałej pamięci Haszek podawał fakty i szczegóły zawsze w odpowiedniej chwili, jak najbardziej dopasowane do kontekstu.

Longen tak o tym mówi:

„Niezwykła pamięć pomagała Haszkowi wykorzystywać wiadomości i doświadczenia zawsze we właściwej chwili, jakby po omacku sięgał do niewyczerpanych zasobów. Dla jego współczesnych było prawdziwą zagadką, kiedy Haszek właściwie czytał i kształcił się, skoro wiecznie przesiadywał w knajpach i włóczył się z miejsca na miejsce. A przecież Haszek czytał. Chwytał jakąś książkę i szybko ją połykał. Dosłownie pochłaniał lekturę, ale pamiętał wszystko, także i to, co usłyszał. Jego pamięć pozostała świeża aż do śmierci, nawet alkohol jej nie osłabił. Bardzo często czytał w stanie kompletnego zamroczenia, a po wytrzeźwieniu mógł dokonać szczegółowej analizy książki. Cudowna pamięć odgrywała dużą rolę w jego twórczości.

Haszek był niewyczerpaną składnicą pomysłów, dowcipów i przedziwnych zwrotów i pisał z ogromną łatwością, korzystając w pełni ze swej niezwykłej pamięci — pamiętał każde słowo, które kiedyś usłyszał i nic nie hamowało tempa jego pracy. Bacznie śledził linię rozwoju komedii i dokładnie wiedział, zaczynając nowy dialog, jaką pointą skończy. Każda jego postać była przemyślana w najdrobniejszych szczegółach.

Jak tylko w głowie Haszka dojrzał jakiś pomysł, stawał przy stole i dyktując mi, odgrywał tę osobę, której rozmowę właśnie pisałem. Gestykulował, tupał, krzyczał, wykrzywiał się albo przybierał poważny wyraz twarzy, w zależności od sensu dialogów i charakteru przedstawianych osób. Te sceny teatralne były tak dziwacznie groteskowe, jak sam Haszek. A gdy udał mu się jakiś dowcip, chichotał i spacerował z rękami w kieszeniach albo założonymi do tyłu, popatrywał na mnie spod oka, ciekaw efektu swoich słów. Dziwiłem się nieraz, że przy tej pracy zadowalał się kilkoma szklankami herbaty z małą dawką rumu".

Obrazy i pomysły literackie przychodziły Haszkowi z dużą łatwością i bezpośredniością, jakby je po prostu brał z życia. Dlatego tekst Haszka robi wrażenie naszkicowanego, nie wykończonego materiału: wiele obrazów jakby wymagało uzupełnienia, wycyzelowania, osadzenia w kontekście sytuacyjnym. Ta improwizacyjna niedbałość i spontaniczność jest, jak się przekonamy, przyczyną wieloznacznego komizmu Szwejka. Longen podkreśla związek między specyficznym rodzajem twórczości Haszka a jego wyostrzonym, dziecinnym widzeniem świata, które przejawiało się nawet w codziennych kontaktach z ludźmi. Zauważył wzmożoną dociekliwość Haszka podczas pewnej wizyty w sąsiedztwie.

„U piwowara musieliśmy tak długo siedzieć, dopóki Haszek nie porozmawiał o wszystkich ludziach z Lipnicy i okolicznych wsi, o miejscowych wydarzeniach i gminnych ploteczkach. Interesował go każdy najmniejszy szczegół. Zachowywał się jak wścibska kwoka, która wszędzie wsadzi swój zachłanny dziób, póki się nie nasyci."

Ciętość i efekt swoich dowcipów sprawdza Haszek od razu na miejscu, w gronie słuchaczy. Mit cyganerii i atmosfera knajpy włączają się w ten sposób w strukturę dzieła. Po raz pierwszy jednak spotykamy się w jego twórczości z tendencją odwrotną: dzieło literackie wpływa na sposób życia Haszka.

Jego bliskim przyjaciołom wydaje się, że praca nad powieścią niezwykle go męczy, że stara się ją w miarę możliwie odsunąć. Bezsutannie przerywa pisanie i dyktuje krótkie wypoczynkowe humoreski i nowelki. Pozwala przerywać sobie pracę, ucieka do lokalu zabawiać się z restauracyjnymi gośćmi. Szwejk jak gdyby naruszył ramy jego przyzwyczajeń, jego mit artysty-Cygana. Obszerna, nie kończąca się epopeja nie użycza mu chwili wytchnienia, potrzebnego dla rozerwania się. Twórczość literacka zupełnie podświadomie jest teraz główną treścią jego życia. Szwejk stał się mimo woli najpełniejszym wyrazem jego osobowości.

Znaczeniową kanwą powieści jest dysproporcja między wydarzeniami historycznymi a codziennym życiem zwykłego człowieka. Zwykły człowiek jest w wirze światowych wydarzeń drobną cząsteczką, zepchniętą na margines i przez nikogo nie zauważaną. Haszek obnażył i upoetyzował mikrokosmos jego realnych, przyziemnych zainteresowań, pokazał ich samoistność i względną niezależność.

W Szwejku zobrazował sposób, w jaki nawet w najgorszym niebezpieczeństwie można wyzbyć się strachu i zależności od władzy, ożywić bezpośredni stosunek do życia i do rzeczywistości. Komiczna, pełna artystycznej fantazji aktywność jego gadulstwa, paplania i bajdurzenia różni się diametralnie od fikcyjnych wyobrażeń i zainteresowań. Pozornie naiwną bezcelowością swojego postępowania Szwejk wymyka się bezsensownej wojnie, prawadzonej w imię wzniosłych symboli i celów. Otwartość i chaotyczność tego, co mówi Szwejk, stanowi kontrast do skrytych metod sztywnego systemu mocarstwowego, który dąży do degradacji ludzkości i zmechanizowania życia.

Ta koncepcja myślowa kryje się w improwizacyjnej lekkości i spontaniczności stylu. Nawet i w Szwejku nie chciał Haszek niczego innego, jak tylko służyć błyskawicznym pomysłom i fajerwerkom swej fantazji, swemu widzeniu świata. Mimo to następuje przełom w jego twórczości. W tytułową postać powieści wcielił autor najcenniejszą cechę swojego mitu Cygana, jakim czarował restauracyjną publiczkę, mianowicie dar twórczej improwizaji.

Od pierwszej strony tej epopei mamy wrażenie, że Szwejk bawi się sam swoim gadaniem, że odczuwa wewnętrzną radość i uciechę. Jego stosunek do tego, co mówi, ma charakter nieobowiązującej zabawy. Wśród mocarstwowych zarządzeń represyjnych stwarza sobie Szwejk magiczną przestrzeń swobodnego gadulstwa, pełną możliwości lawirowania, udawania i odwracania sensu. Jego humor jest przykładem, jak człowiek może uratować się nawet w sytuacji pozornie bez wyjścia.

Charatkerystyczną cechą humoru Haszka jest jego wieloznaczność. Ale gdy tylko zaistnieje wrażenie, że coś ma znaczenie konkretne, że oddziałuje jako zachęta do naśladowania ideału, autor dokonuje błyskawicznego zwrotu i znowu zaciera sens Szwejkowych wypowiedzi. Szwejk nie jest głupim ordynansem ani rewolucyjnym bojownikiem. I nie chce nim być.

Jego komiczna wielopostaciowość odpowiada zawsze krytycznej sytuacji, w jaką rzucił go los. Szwejk nie ma ambicji Herostratesa, by przejść do historii, nie jest też prorokiem idei. Znajduje się w sytuacji, w której ulotność i kruchość ludzkiego istnienia nabierają szczególnego sensu. Filozof charakteryzuje takie położenie człowieka w następujący sposób: „Nie jest to sprawa przypadku; istnieje granica, za którą nie można już człowieka dopaść — a zatem i ścigać; tylko zatrzymując się na tej granicy i trwając na niej niezłomnie, wierny swojemu ostatecznemu celowi, człowiek może zrealizować sam siebie — pozostać wolnym."

Można to odnieść również do Haszkowego Szwejka.

Chociaż Haszek dochodził do sensu swego dzieła raczej intuicyjnie niż świadomie, jego stosunek do Szwejka był od samego początku szczególnie intymny, wręcz zagadkowy. W zakończeniu pierwszej części broni się ironicznie przed pojmowaniem imienia Szwejka jako epitetu ubliżającego.

I w Lipnicy śledzi echa swego dzieła wśród rodzimych i zagranicznych czytelników. Dużą radość sprawiła mu pochwalna krytyka Maksa Broda, niemieckiego Żyda, publicysty i przyjaciela Franza Kafki, którą przywiózł mu specjalnie Longen. Zaraz napisał do Broda podziękowanie na pocztówce z widokiem Lipnicy. W gronie znajomych powiedział: „Teraz zaczynam wierzyć, że Szwejk doczeka się wielkiej kariery. Wierzcie mi, moi drodzy, wszystko, czego dotknie Żyd, zawsze się udaje."

Kiedyś przyszedł do niego przyjaciel Józef Kolárz i zirytowany pokazał mu artykuł w „Gazecie Narodowej", który komentował krytykę Olbrachta wydrukowaną w „Rudym Pravie". Epitet „genialny idiota", którego Olbracht użył w odniesieniu do Szwejka i który dotyczył także jego autora, „Gazeta Narodowa" interpretowała jako obelgę. Haszek wcale się tym nie przejął i dobrodusznie tłumaczył Kolárzowi: „Wiesz, Pepiku, ja nie jestem genialny idiota, Olbracht się bardzo myli. Ja jestem zupełnie zwyczajny idiota."

Jednakże nie można zbyć tego spostrzeżenia jedynie żartobliwym aforyzmem. W wyrażeniu „genialny idiota", jest bowiem zaszyfrowana dialektyka typu Szwejka. Wyrasta ona z historycznej przewagi systemów mocarstwowych nad człowiekiem. W absurdalnej, krytycznej sytuacji następuje zrelatywizowanie wszelkich wartości. Nadchodzi moment, kiedy wszystko staje na głowie. Cywilizacja i postęp przestają służyć ludzkości, grożą jej zagładą. W takiej chwili jedynym możliwym ratunkiem jest prymitywna negacja, instynktowna samoobrona.

Olbracht w taki sposób charakteryzuje znaczenie Haszka:

„Nas wszystkich, którzy pisaliśmy, wojna biła kijami po głowie. Siedziała nam na karku i pochylała nam czoła nad papierem, a jeśli udało nam się wyprostować, działo się tak tylko dzięki ogromnemu wytężeniu woli i mięśni. Haszek nie miał potrzeby wojny w sobie pokonywać i zwyciężać. On stał ponad nią już od samego początku i śmiał się z niej. Potrafił wyśmiewać ją w całości i w szczegółach, jakby nie była niczym innym jak tylko pijacką bójką w żiżkovskiej karczmie. Do tego, by móc tak na nią patrzeć, z pewnością potrzeba dużej dozy szwejkostwa i — powiem od razu słowo, którego chciałem użyć później — genialnego idiotyzmu."

Tylko idiota śmieje się w twarz brutalności, dlatego czuje się wolny. W dziejowym nihilizmie Szwejka odkrywa Haszek specjalny rodzaj komicznej pozy, ukrytej w postaciach błaznów i wariatów, dla których świat jest tragikomicznym teatrem i który na wzór średniowiecznych mędrców nazywają — theatrum mundi.

Swoim „genialnym idiotyzmem" Szwejk nie broni jedynie własnej skóry, broni elementarnej zdolności człowieka do pozostania sobą.

Umie więcej niż zrozumieć absurd. Umie go przeżyć. Wyzwala się z przygniatających warunków, wytwarza sobie przestrzeń dla naturalnej aktywności życiowej.

Na tym polega istota światopoglądu Haszka: sensem życia nie jest ofiara, jak mówi Kościół, ani walka o władzę, jak przykazują ambitni wodzowie. Sensem życia ludzkiego jest żyć.

(Fragmenty książki Radko Pytlika „Wędrówka")

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293 00, wew 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 1774. R-11. Nr indeksu 26762.